Nr. 22. Poznań, Niedziela 26go Sierpnia 1894 r. Rok. I

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

Warunki produkcyi węglowej na południu Rosyi w związku z Królestwem Polskiem.

Od lat kilku stale powtarza się przesilenie węglowe w kopalniach donieckich, wielce szkodliwe dla milionów ludności. Ponieważ zjawisko to dotyka całych mas mieszkańców i wiąże się z wytworzeniem, tudzież spożyciem węgla w Królestwie Polskiem, warto więc przyjrzeć się, choćiaż pobieżnie przyczynom takiego stanu rzeczy i możliwym środkom zaradzenia złemu.

Obrońcy przemysłowców donieckich w charakterystyczny sposób tłomaczą niechęć ludności do zajęć górniczych i traktowanie ich jako zarobków chwilowych. Mianowicie powołują się na to samo zjawisko w fabrykach moskiewskich, gdzie pod każdym względem warunki pracy są o wiele lepsze niż w kopalniach. Głównie cierpi przemysł tkacki, który nie może rozwinąć się należycie ani sprostać udoskonaleniom, wprowadzanym gdzieindziej. Skoro tylko nadejdzie czas gorączki polnej, tkacze tak samo, jak górnicy, opuszczają fabryki i dążą do zajęć rolnych. Próżno fabrykanci usiłowali stworzyć stałe armie pracowników, którzy prócz nieprzerwanego ciągu robót przynosiliby pożytek przedsiębiorcom jeszcze drogą zdobywania doświadczeń i wiedzy w fachu, nieopuszczanym ani na chwilę. Próby tego rodzaju nie dały pożądanych rezultatów. Otóż interesowani całą winę składają na karb natury chłopa ruskiego: jakaś siła wewnętrzna wyciąga go z ciasnych i dusznych pomieszczeń fabrycznych i pędzi w pola rozległe, gdzie słońce i bujny podmuch wiatru ożywia go i rozwesela. Niewątpliwie w znacznej mierze działa tu moc tradycyi i dziedziczności, ale potęguje się ona jeszcze innymi czynnikami, na które interesowani nie zwracają uwagi. Dość wskazać tylko tę olbrzymią różnicę warunków pracy. Robotnik, oddychający przez kilka miesięcy odpadkami bawełny lub kurzem węgla, pozbawiony światła i powietrza, z upragnieniem oczekuje robót polnych, gdzie pomimo znoju i skwaru sił mu przybywa i chociaż nie zdaje on sprawy z doniosłości hygieny, działa w nim bezwiednie, rozprasza jego smutki i ociężałość rozwiewa. Przy tem wszystkiem strona materyalna pierwszorzędną odgrywa rolę: właściciele ziemscy, znagleni pośpiechem, dają mu lepsze zarobki za pracę milszą i mniej uciążliwą. Cóż dziwnego, że jesienią po powrocie do szacht pracuje niechętnie? Przemysłowcy uskarżają się właśnie na mniejszą produkcyjność pracy robotników świeżo po powrocie od zajęć polnych i przypisują to jego pełnej na razie kalecie lub urodzajom, dzięki którym najemnik nie potrzebuje przez pewien czas posyłać pieniędzy rodzinie. Nadto zwykle 1 października przypada termin ogólnych rachunków i zawierania nowych umów. Z tego powodu robotnicy, otrzymawszy pieniądze, „bawią się“ nieraz 10 dni z rzędu, kopalnie zaś przez ten czas zupełnie są bezczynne.

Tak się skarżą przemysłowcy i upatrują ratunek w ukróceniu pijaństwa. Szkoda tylko, że wyliczając środki zwalczenia tego nałogu, zapominają o najważniejszym: warunkach bytu, które przedtem należałoby gruntownie zmienić. Nauka stwierdziła, iż żądza pijacka wzrasta w stosunku prostym do natężenia pracy; dodajmy do tego warunki mieszkalne i liche odżywianie. Robotnicy donieccy mieszczą się w ciasnych, ohydnych kazarmach, wobec których lokal szynkowy wydaje się rajem, w którym najemnik chętniej, niż w owym schronisku, większą część czasu wolnego spędza. Jeżeli więc przemysłowcy tamtejsi chcą zmienić obecny stan rzeczy na znośniejszy, niech się chwycą lepszych, chociaż połowicznych środków, gdzieindziej już stosowanych: niech urządzą dokoła swych zakładów kolonie robotnicze, wygodne pomieszczenia dla całych rodzin, pozakładają szkoły dla dzieci swych najemników, a dla dorosłych wprowadzą rozrywki szlachetniejsze, skutecznie współzawodniczące z szynkami. Taką drogą przynajmniej dowiedliby sprytu i zrozumienia własnego interesu, jak to czynią wytrawni kapitaliści zagraniczni.

Ale chcąc iść w ślady tych ostatnich, trzeba byłoby całą organizacyę przedsiębiorczą zmienić, która ma dziś charakter działań rozproszonego mrowia aferzystów. Obok drobiazgu są nad Donem również akcyonaryusze, lecz ich gospodarka wznosi się nie wiele wyżej nad poziom krętaniny małych przedsiębiorców. Czy więc mogą oni wszyscy, nie przekroczywszy zaklętego koła pierwotności i niedołęztwa działań, poszarpanych na strzępki, lepiej zorganizować podstawę swego bytu — siłę robotniczą? Kiedy w roku 188[illegible] fabrykach i kopalniach brjańskich przerwano produkcyę, sto tysięcy robotników znalazło się bez zajęcia; jednocześnie przemysłowcy donieccy, nieopodal od powyższych ognisk, chwilowo wygasłych, uginali się przed widmem bankructwa z braku rąk do pracy. Zjawiska takie i dzisiaj są na porządku dziennym we wszelkich działach przemysłu: podczas gdy masy ludzi bezowocnie poszukują zarobku, przedsiębiorcy w sąsiedztwie chwieją się lub upadają z niedostatku najemników. Jedni o drugich nie wiedzą i cierpią wzajemnie. Kopalnie donieckie leżą niedaleko od gubernij, posiadających grunty ubogie, wyjałowione, skąd ludność przyciśnięta nędzą rozsypuje się w pogoni za zarobkami lub poszukiwaniem ziemi lepszej na dalekim wschodzie syberyjskim. Będzie to trwać dopóty, aż przedsiębiorcy we własnym interesie nie stworzą szerokich urządzeń wywiadowczych, rozgałęzionych po całem państwie.

Ale z przekształceniem warunków pracy powinna iść w parze gruntowna przemiana obecnego systemu gospodarki w kopalniach donieckich. Już na zjeździe charkowskim 1888 roku położono nacisk na konieczność połączenia spółkowego pojedyńczych przedsiębiorców drobnych. Tym sposobem zyskaliby możność rozporządzania większymi środkami, co znowu pozwoliłoby im czynić ulepszenia techniczne, zmierzające ku zwiększeniu produkcyi i zniżeniu jej kosztów. Nie jest to wszakże reforma, nadająca się do szybkiego przeprowadzenia. Kopalnie donieckie przedstawiają olbrzymie bogactwo, które, według obliczeń specyalistów, nawet przy znacznie wzmożonej eksploatacyi nie da się wyczerpać w ciągu wielu setek lat. Nadto, pokłady owe leżą w punkcie dość dogodnym — względnie niedaleko od portów; a jednak wielkie kapitały stronią od tak ponętnego przedsiębiorstwa. Dla czego? Bo jest tam straszne powikłanie stosunków agrarnych i administracyjnych, więc kapitaliści nie chcą w tę matnię rzucać swych pieniędzy, dopóki się ona nie da w jakibądź sposób usunąć. Rozpatrzeniem tej strony warunków zajęła się ubiegłej zimy specyalna komisya rządowa, która zapewne przyczyni się do rozwiązania tych pogmatwań na miejscu.

Jednym jeszcze z zasadniczych warunków powodzenia kopalni i tem samem — równomiernego zaopatrywania spożywców, powinny być ułatwienia komunikacyjne. Wprawdzie przybyło parę linii w ciągu ostatnich pięciu lat, zwiększyła się sprawność przewozowa, ale samo ognisko przemysłu jest poniekąd oderwane od głównych arteryi i zdane na łaskę pierwotnej komunikacyi, zależnej od kaprysów natury. Tem się tłomaczy owo charakterystyczne zjawisko ubiegłej jesieni, że gdy powszechnie odczuto dotkliwy brak węgla, kopalnie posiadały *siedem* milionów pudów zapasu, uwięzionego skutkiem

popsutych dróg kołowych. Tak więc podstawowy warunek rozwoju produkcyi — koleje podjazdowe, zupełnie jest dotąd lekceważony.

Niewątpliwie wszystkie te braki będą w przyszłości usunięte, tymczasem zaś cierpi ogół spożywców, a między nimi wielka liczba fabryk. (Zakłady jekaterynosławskie zmuszone nawet były sprowadzić znaczne zapasy węgla angielskiego). Wobec tego bardzo słusznie komisya rządowa przychyliła się do środków doraźnych, między innymi czasowego ułatwienia dowozu węgla dąbrowskiego na rynki południowe. Przedewszystkiem sprawdzono, czy rozmiary produkcyi pozwolą na to. Okazało się, że Dąbrowa, nieprzygotowana nawet, może wysyłać do Cesarstwa 50 wagonów dziennie; po odpowiedniem zaś wzmożeniu produkcyi — 150 wagonów, czyli 200,000 pudów dziennie. Zatem w ciągu miesiąca Królestwo może dostarczyć na rynki południowe przeszło 10 milionów pudów. Przy frachtach wyjątkowo nizkich, około $^3/_{10}$ kop. od puda i wiorsty, ceny na rynkach zubożałych zniżyły się, do 15—17 kop. za pud. Ulgową taryfę wprowadzono już od 13 stycznia, a rezultatem jej były umowy, na mocy których wybitniejsi właściciele kopalń dąbrowskich zobowiązali się w ciągu stycznia i lutego dostarczyć na południe 15 milionów pudów węgla.

Tak wielki upust, rzecz prosta, nie jest korzystnym dla spożywców Królestwa Polskiego. Przed laty kilkunastu kolej Wiedeńska za węgiel w Dąbrowie płaciła niespełna po 6 kop. za pud; obecnie płaci prawie po 7 kop. Zwyżkę ową przypisują powiększeniu wywozu do Cesarstwa. Zwróćmy uwagę, że ten wywóz odbywał się dotychczas bez ulg taryfowych i pomimo to wpłynął na różnicę w cenach, tembardziej więc oddziałał na wzrost cen po wprowadzeniu tych środków ulgowych. Zwyżka ta jest nieznaczna na miejscu w Dąbrowie, ale ten wywóz nadzwyczajny przedewszystkiem dał spekulantom, czyli pośrednikom sposobność do nowej gry kosztem spożywców. W interesie więc ogółu tych ostatnich zarówno u nas, jak i w Cesarstwie, byłaby inna organizacya handlowa. Na południu rozlegają się takie same jak i u nas skargi na zdzierstwo spekulantów. Otóż tam dla uregulowania cen niektóre zarządy miejskie postanowiły urządzić własne składy węgla, między innemi Charków na 100,000 pudów. Dowozu produktu podjęło się Towarzystwo górnicze Aleksiejewskie, zarząd zaś miejski dzięki temu mógł sprzedawać paliwo po 17 kop. pud, z dostawą do domów. Taka municypalna gospodarka oddałaby i u nas znaczne usługi spożywcom. Po za tem możliwe są inne formy handlu, usuwające drobnych pośredników: organizacya spółkowa, mająca styczność bezpośrednią ze źródłem produkcyi. Zamiast obecnych składów, takie przedsiębiorstwo zbiorowe mogłoby potwierać filie dla sprzedaży cząstkowej, a obecni przekupnie cierpiący niedostatek, pomimo wysysania kieszeni najuboższych spożywców, poszukaliby sobie korzystniejszych zajęć, może nawet jako pracownicy na usługach racyonalniejszej formy handlu.

Zen. Piet.



POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Radikalni Listy*“, główny organ czeskiej Omladyny tak pisze pod nagłówkiem „Bój pokrokarzu s Mladoczechy“ (Walka postępowców z Młodoczechami).

„W ostatnich czasach kołowały po czasopismach czeskich i zagranicznych wieści przeróżne o stosunku stronnictwa postępowego do Młodoczechów, o ich wzajemnem zwalczaniu się; u nas zwłaszcza pisma staroczeskie, stosunkiem tym bardzo się interesują, rejestrując skrzętnie każdy krok ruchu stronnictwa postępowego. My w tem widzimy objaw czysto prasowej machinacyi: gromadzenia jak najwięcej faktów, któreby pomiędzy Omladyną a Młodoczechami wytworzyły rozdział, wywołały walkę, aby tym sposobem jednych przeciw drugim wygrywać. Tutaj stykają się usiłowania Staroczechów z oportunistami partyi młodoczeskiej.

„To prawda, że pomiędzy nami a Młodoczechami jest rozdział i rozdział pewien być musi, ponieważ inaczej przestalibyśmy być ich lewem skrzydłem, jest też prawda, że pomiędzy nami a Młodoczechami istnieją różnice zapatrywania i z tego punktu widzenia pewna walka. Myśmy wyrośli z ciała młodoczeskiego, ale nie wychowali nas Młodoczesi sami. Oddziaływały na nas — a my nie chcieliśmy być ślepymi i głuchymi — wpływy inne, studyum innych literatur, wielka i intenzywna walka socyalna nowożytnego społeczeństwa, która toczy się i u nas. Nie mogliśmy się zadowalniać tem w nauce, co nam daje literatura czeska i tem, co jest w ewangelium młodoczeskiem.

„Dopóki stronnictwo młodoczeskie walczyło o ster w naszym narodzie, cała jego energia zwróconą była ku temu celowi, dopóty wszystkie cząsteczki stronnictwa szły sfornie. Gdy jednak wzięliśmy górę, wówczas przestrzeń się powiększyła, części składowe stronnictwa zyskały na przestrzeni i poczęło się jego różniczkowanie. Żywioły oportunistyczne zadowalniały się tem, co osiągnięto, środek stronnictwa żył z tradycyi zdobytego zwycięstwa, tylko żywioły najczynniejsze, nie mogąc tem się zaspokoić, szły dalej. Ruch czeski wzmaga się odtąd na każdem polu, formacye polityczne się zmieniają, wyjaśniają i przyostrzają, nowe stronnictwa się rodzą, n. p. socyalistyczne — praca polityczna staje się bardziej skomplikowaną, ale stronnictwo młodoczeskie poglądów swych nie rozszerza i nie pogłębia. Dla tego, dokąd nie poszło stronnictwo, było naszym obowiązkiem pójść naprzód, co też uczyniliśmy. Żeśmy zrobili dobrze, dowodzi to, że postępowe stronnictwo zyskało już popularność, ma dobry dźwięk, ma cały szereg odpowiednich organów, swoją organizacyę, występujących świadomie w jednym kierunku, ma kęs historyi własnej. W tem właśnie wzmaganiu się swem tkwi zarodek nastawających konfliktów.

„Ale my znowu nie widzimy w tem nic zdrożnego, tylko naturalną walkę dwóch uzasadnionych prądów, walkę konieczną, która nas wiedzie do odmłodzenia i wzmocnienia opozycyi narodowej. Dla tego rąk nie załamujemy, nie widzimy w tem rozbijania społeczeństwa i tworzenia się stronnictw nowych i jesteśmy całkiem spokojni wobec niegodnych napaści ze strony niektórych młodoczeskich pism tego rodzaju, co „Podrzipan“ lub „Plrenské Listy“...

„Przecież sprawie narodowej nie szkodzimy, budując w kraju basztę zasadniczej opozycyi. Dopóki nie będziemy mieli w kraju podpory dostatecznej, dopóty nie można myśleć o akcyi energicznej przeciw Wiedniowi.

„Sforności i jedności nie można dyktować, jak tego chce poseł Szpindler, bo one są rezultatem doskonałej organizacyi i powszechnego zrozumienia programu. Wychodzi ona z wewnątrz ale nigdy z zewnątrz. Zresztą musimy tutaj mówić li o jedności stronnictwa, nie całego narodu. Wołanie o jedność w całym narodzie jest bezsensowem, fantomem politycznie nieudolnych i nieuczciwych ludzi.

„Dla Młodoczechów nastały po ich zwycięstwie dwie rzeczy do zrobienia: praca w narodzie i praca przeciw systemowi rządowemu. Tę ostatnią wykonywali Młodoczesi sumiennie,

---

6)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI

MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

9 stycznia.

Kilka dni temu jeden z powiatowych woźnych wręczył mi bilecik, pisany ręką pana Kłuckiego, a zapraszający mię na... bal. Po przeczytaniu zaproszenia pogrążyłem się w głęboką zadumę. Grube buty, uniform żołnierski i bal! W tej niepewności i rozbiciu ducha zwróciłem się z prośbą o radę do komendanta roty. Czeremisow najłaskawiej nietylko zezwolił na moją bytność w domu pp. Kłuckich podczas balu, ale nawet zapewnił, że strój żołnierza rosyjskiego nikogo z gości razić nie może. Wspomniał coś jeszcze o demokratycznym duchu czasu, ale tego już dokładnie nie zrozumiałem.

W mieście poprostu wrzało. Urzędnicy słabiej zaopatrzeni w garderobę wysłali do Siedlec specyalnego delegata z misyą wypożyczenia u krawców tamtejszych niezbędnej ilości fraków, mężowie i ojcowie pozaciągali długi, handel i przemysł wzmógł się bardzo znacznie. I oto nadszedł pamiętny dzień czwartego stycznia. Wyczyściłem cholewy szuwaksem, zrujnowałem się na kupienie flaszki wody kolońskiej i, ku śmiertelnej zawiści kolegów, wyruszyłem na bal z wielką ostentacyą. Miłe złego początki... Ach, tak! Woźni z powiatu, ucharakteryzowani za lokajów, zdarli ze mnie szynel z takiem uszanowaniem, jakbym był przynajmniej podporucznikiem, a sam uprzejmy gospodarz wprowadził mię do salonu. Boże, Boże! co świateł, jaki tłum gości! Muzyka naszego pułku, umieszczona w kuchni wygrywała namiętną polkę z takim hałasem, waleniem w bęben i wybijaniem taktu obcasami, jakby się rzecz działa na ukraińskim stepie. Olśnił mię blask i migotanie mnóstwa kolorów. Migotały różnobarwne damskie suknie, pióra starych matron, kwiaty, obnażone ramiona, dziwne fryzury, starożytne mantyle, wachlarze, nieskończona ilość paradnych szlif oficerskich oraz ponurych fraków, (przeważnie pochodzenia siedleckiego). Wyszedłem bez zwłoki z sali tańców i udałem się do sąsiedniego pokoju, gdzie już rozstawiono stoliki i zasiadano do winta. Przy pierwszym siedział naczelnik powiatu, pułkownik Pizipios, ksiądz kanonik Pudełko i jakiś bogaty szlachcic. Zbliżyłem się do pułkownika, wyprostowany jak słup wiorstowy i wyrecytowałem:

— Czy „*Wasze Wysokorodje*“ pozwoli mi być na balu?...

Pizipios poskrobał się kartami po nosie, obejrzał mię przez ramię od stóp do głów, uśmiechnął się z delikatną pogardą i rzekł:

— Proszę, — możesz pan pozostać i bawić się.

Wówczas dopiero z odwagą wkroczyłem do sali balowej. Powynoszono z niej wszystkie meble, z wyjątkiem jednej kanapy i kilkunastu krzeseł, wskutek czego wydawała się o wiele obszerniejszą. Wyświeżony Rogowicz tańczył właśnie polkę z narzeczoną. Obnażone ramiona panny Maryi błyskały na czarnem tle fraka w taki sposób, że od zgrzytania można było dostać bólu zębów. W tłumie oficerów, po kawalersku kręcących wąsy przy drzwiach wchodowych słychać było szept uwielbienia i *mocne* wyrazy zachwytu. Nawet bezmyślnie uśmiechnięte stare damy, skazane na drzemanie w czeluściach kanapy, pochylały ku sobie głowy ze szczególnemi ozdobami na podobieństwo gzemsów, pilastrów i kapitelów, i mamrotały zbiorowe „approbatur“. Pięknych panien było

ale zapomnieli o pracy w domu. Przybierali do pomocy ludzi, nie pytając się, co za jedni. Powołali oni do opozycyi wszystkie warstwy ludowe, nie przekonawszy się poprzednio, czy do opozycyi należą. Życie czeskie zostało nadal zgniłem i aż zgroza niezdrowem. Młodoczeski ruch, mając takie czynniki, nie może żadną miarą pomyśleć o opozycyi zasadniczej. Dla tego tej czynności podjęło się stronnictwo postępowe i ztąd wynika jego zadanie organizowania sił najdrobniejszych. Nie zależy nam na wielkości, lecz na jakości stronnictwa. U nas tu jest kęs spory tradycyi „„braci czeskich““.

„Program młodoczeski to zbiór poważnych haseł, ale tylko haseł, z których człowiek wiele nie zrozumie i nie nabędzie poglądu jednolitego na kwestye polityczno-socyalne. Hasła stronnictwu naszemu nie starczą, zrobiły one już swoje, bo uwięzły nam w mózgu i pamięci, stronnictwo musi iść dalej drogą obraną. Ponieważ środek stronnictwa młodoczeskiego jest chwiejnym, wynika ztąd, że cały zasób energii leży w lewem skrzydle młodoczeskiem, bo ono ma cel i środki zrozumiałe...

„Nam żywiołom skrajniejszym ani się marzy, abyśmy mieli ze stronnictwa wystąpić, niechaj z niego wystąpią ci, którzy mu duchem obcy. Toż staroczeski „Hlas Naroda“ przyznał, że postępowcy czescy najwięcej dopomogli Młodoczechom do zwycięstwa, czyż więc, mając takie dane, moglibyśmy stronnictwo opuszczać? Sądzimy, że stronnictwo młodoczeskie, nabywszy lepszego poglądu samo nam przeszkadzać nie będzie w naszym naturalnym rozwoju...“

* * *

„Narodni Listy“, główny organ młodoczeski pisze o stosunku Rusinów do wystawy lwowskiej, co następuje:

„Sądziliśmy zrazu, że protesty odzywające się wśród Rusinów przeciw polskiej wystawie we Lwowie, to objawy energii, którą okazuje lud rusiński w obronie miejsca swego przynależnego mu na wystawie. Dziś atoli należy stwierdzić, że owe protesty były czczemi frazesami, poza którymi nie było żadnej akcyi ze strony tych, którzy z niemi występowali.

„Te protesty Rusinów należy uważać nietylko za czynność niedostateczną, ale i chybioną, gdyż ważniejszem byłoby, gdyby Rusini, widząc niemożliwość wywalczenia praw przynależnych, dali wystawie spokój i pozostawili jej charakter polski, który według inicyatorów jej miała posiadać.

„My nie żywimy niechęci ani ku pierwszym, ani ku drugim, rezultat pracy dodatniej zawsze nas znajdzie gotowych do uznania, dla tego życzymy, aby wystawa lwowska przyniosła Polakom jak najwięcej pożytku, którzy chcieli w niej widzieć objaw swej siły narodowej.

„Toć stosunki galicyjskie nie wytworzyły się dziś, ale są one wytworem wieków, w których Rusini nic nie zdołali osięgnąć większego. Aczkolwiek z boleścią wyznać musimy; że Rusini tak w Galicyi jak we Węgrzech ze wszystkich narodów słowiańskich okazali się pod względem narodowym najbardziej zacofanymi i więcej niż którykolwiek inny naród słowiański stali się ofiarą własnej niezgody, która im nie dozwala ustalać własnej pisowni.

„Dotąd każda partya halicko-ruska używa w swych czasopismach innej pisowni, innego języka, a nawet innych liter. Podobnie ma się rzecz z programami politycznymi i socyalnymi. Rusini galicyjscy tworzą złomek narodu małoruskiego, jego część piątą i idąc w tym kierunku co dotąd dalej, staną się cudzymi samym sobie, które to niebezpieczeństwo zwiększa się, jeżeli zważymy, że jedna część inteligencyi małoruskiej wychowuje się w szkołach polsko-niemieckich, druga w rosyjskich...“

* * *

Słowińska *„Nasza Sloga“* pisze o stosunkach włosko-słowiańskich w Tryeście i o walce toczącej się pomiędzy Słowianami a Włochami co następuje:

„Ruch wielko-italski wzmaga się z każdym rokiem; Włosi ośmieleni brakiem opieki, jakiej ze strony rządu nie doznają Słowińcy tryesteńscy, w pochodzie swym stawiają coraz to większe żądania, dążąc, aby co rychlej przyspieszyć wynarodowienie się Słowian. Ruch ten już bez maski na twarzy przyznaje się do tendencyi Irridenty, którą rząd za mniejsze uważa zło od widma panslawizmu. W tych dniach odbył się w Tryeście zjazd włoskich studentów, który pisma tutejsze włoskie podniosły do znaczenia wielkiej demonstracyi narodowej. W miejscowości Pergine, dokąd zrobili studenci wycieczkę, wygłaszano mowy, nie tajono się wcale z agitacyami, których celem praca „pour le roi d'Italie“... Sensem tych mów była „Italia una“ (Włochy zjednoczone), że Włosi tutejsi czują się jednymi z Włochami z Królestwa.

„Mówcy wzywali, iż świętym obowiązkiem Włocha każdego jest korzystanie z nadarzającej się jakiejbądź sposobności, aby agitować w duchu narodowym w celu uświadomiania ludu. Uchwalono rezolucye, domagające się włoskiego uniwersytetu, oraz tego, aby doktorat włoski miał znaczenie prawne w Austryi. Tym sposobem młodzież włoska mogłaby studyować bez przeszkody we Włoszech. Włosi widzą się w swych posiadłościach zagrożeni przez Słowian; przeciw Słowianom więc w pierwszym rzędzie powinni walczyć. Również wysłano telegram do burmistrza Tryestu, dziękując mu za jego działalność patryotyczną.

„Wobec tego wszystkiego należy podziwiać odwagę prasy włoskiej, która, jak n. p. „Mattino“ tryesteński przypisuje toastom znaczenie polityczne....“ *K.*

LITERATURA I SZTUKA.

LEON DAUDET.

Wśród kierunków i prądów, krzyżujących się obecnie w literaturze francuzkiej przeważa powieść psychologiczna — szczegółowa analiza uczuć i myśli z podścieliskiem jakiej tezy moralnej albo też problematu naukowego: kwestyi dziedziczności, popędów rasowych, hypnozy, suggestyi i t. p.

Na tę drogę od razu wstąpił Leon Daudet, najmłodszy przedstawiciel dynastyi, jaśniejącej od pewnego czasu na horyzoncie literackim. Ojcem jego jest Alfons, twórca „Nababa“, „Nieśmiertelnego“, „Numy Roumestan i wielu innych, stryjem Ernest, który tuzinami wyrabia romanse, zapełniające odcinki. Matka posiada pretensye autorskie, a za pomocą stosunków męża, wydała parę książek bez wartości, przyjętych przez krytykę z grzecznym entuzyazmem. Jak zaś utrzymują plotki literackie, ona to była autorką ostatniej powieści Alfonsa Dandeta „Róża i Nina“, w której nie znać nawet śladu lwiego pazura znakomitego pisarza.

Leon Daudet, jak się to często zdarza we Francyi, poszedł drogą literacką, wytkniętą mu przez rodziców. Żaden jednak z synów, nie wyjmując Aleksandra Dumas'a młodszego, ojcom nie dorównał. Młody Daudet ożenił się także z dziedziczką wielkiego literackiego imienia wnuczką Wiktora Hugo, ową Joanną, dobrze

---

mnóstwo, wykwintnych kawalerów nie wiele, ale za to zwyczajnych kawalerów — w bród. Obywateli wiejskich można było rozpoznać po głębokich ukłonach, składanych „panu naczelnikowi“ i po łamanej ruszczyznie, a żony ich i córki po tem, że, przyjechawszy na bal do tańego p. Kłuckiego, z fochami i grymasami odpędzały oficerów, zapraszających je do tańca.

Rogowicz dostrzegł mię i począł przedstawiać rozmaitym pięknościom. Piękności spoglądały z obrzydzeniem na mój bezbarwny uniform i co rychlej odwracały piękne głowy. W kącie sali, na brzeżku krzesła siedziała młoda panienka w stroju niewykwintnym. Obok niej kręcił się sztabs-kapitan Izmaiłow. Jest to mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni i prawie przystojny... Mówię — prawie przystojny, — bo szpeci go cokolwiek po pierwsze cera nosa, żywo przypominająca barwę czerwonego atramentu, a powtóre brak lewego nozdrza. Brak ów, jak utrzymują biegli w medycynie młodsi oficerowie naszego pułku, jest rezultatem mocnego kataru. Sztabs-kapitan rozstawia nogi, nieraz bez żadnego powodu, płuje bez względu na nieobecność kraszuarek i posługuje się przysłowiami i anegdotami, chyba tylko w sekrecie używanemi przez ludzi t. z. lepszego towarzystwa. Może dla tego, że panna Jadwiga Zapaskiewiczówna była ostatnią z rzędu dziewic, którym wymieniam moje nazwisko, może dla tego, że nie spojrzała na mnie z tak dystyngowaną wyniosłością, może nawet dla tego, że sprawiała wrażenie zapomnianej — poprosiłem ją do walca. Para nasza nie wywołała prawdopodobnie żadnego efektu. Tancerka moja miała zwyczajne, skórkowe trzewiki na grubych podeszwach, włosy gładko zaczesane z czoła do góry, suknię najwidoczniej na gwałt przerobioną z przedwiecznej jakiejś szaty balowej — i całkiem liche rękawiczki.

Kiedy obiegliszy salę, usiedliśmy w owym kącie, sztabs-kapitana nie było. Panna Jadwiga zwróciła się do mnie nieśmiało, z tą nieśmiałością biednych panien, co nie tyle ma w sobie skromności, ile obawy i przygnębienia — i zapytała:

— Pan jest polakiem — nieprawdaż?

— Tak pani.

— Ten bal jest prawie zupełnie rosyjski.

— Nie zdaje mi się. Są i polacy.

— Ale mos... ale rosyan daleko więcej.

— Dla czegóż pani zmieniła nazwę? — zapytałem ze śmiechem. Spojrzała wzrokiem wystraszonym, szeroko otwierając powieki, i zbladła. Wówczas zauważyłem, że ma oczy bardzo piękne. Są to duże, czarne oczy, w których siedzi ciągle, nawet w chwilach wesela, jakaś myśl posępna.

— Pan się nie gniewa? — rzekła cicho.

— Ja? Mógłbym się tylko spierać o ... zwę... Należałoby tych — nazywać inaczej...

— A jak? — szepnęła, zniżając głowę.

Odpowiedź zamarła mi na wargach, gdyż Izmaiłow zbliżał się do nas, mierząc mię złemi oczyma. Panna Jadwiga dostrzegła go, nie podnosząc głowy. Nagle usłyszałem jej szept:

— Proszę pana na wszystko — niech pan nie odchodzi ztąd i zamówi mię do kontredansa!...

W imię Ojca i Syna... pomyślałem sobie w głębi duszy. Cóż znowu za *tragedyja?* W dźwięku słów, w szybkości wypowiedzenia tej szczególnej prośby tyle było goryczy i jakiejś niedoli, że nie odszedłem, choć wysoki oficer, zajmując miejsce po lewicy panny Jadwigi, patrzał na mnie w sposób nic dobrego nie wróżący.

— Otóż, — zaczął mówić po rosyjsku, — stanęło na tem, że pani przetańczy ze mną wszystkie kontredanse i przynajmniej *dwie mazurki*.

— Nie, panie Izmaiłow... wcale na tem nie stanęło... — odpowiedziała po polsku, wygładzając pogięte brzegi starego i zniszczonego wachlarza.

— Co pani taka uparta? A ja panią przekonam, że pani przetańczy. Ot — przekonam!

— Być może, — odpowiedziała spokojnie.

— Ach, panno Jadwigo, panno Jadwigo..

— Dawno pan wstąpił do wojska? — zwróciła się do mnie. Usta jej uśmiechały się po-

znaną ogółowi z poezyi dziada, który rodzinne swe uczucia rozgłaszać lubił.

Dzieci wielkich autorów, posiadają zazwyczaj dobrą technikę. Leon Daudet dowiódł, że ją posiada w dwóch powieściach: „Haeves“ i „Czarna gwiazda“ (*L'astre noir*), które w krótkich odstępach ukazały się w druku. W jednej i w drugiej znać umysł filozoficznie wykształcony, znajomość ludzi i doktryn, które nimi rządzą, znać autora, który wie do czego dąży i z którym też liczyć się trzeba.

„Haeves“, historya młodego człowieka, jak dalej na wzór zeszłowiecznych romansów, tytuł opiewa, jest to powieść z naukową, tendencyą. Tendencye te autor obszernie tłomaczy w przedmowie, a to już według panującego w nowej szkole zwyczaju. Pragnie on przedstawić w niej wpływy dziedziczne, które nie zlewając się od razu, biorą koleją górę w człowieku, są powodem wahań w jego charakterze i nierówności w postępowaniu.

Dotąd mieliśmy do czynienia z prostą dziedzicznością lub atawizmem, sposób w jaki Daudet przedstawia kwestyę, komplikuje ją niezmiernie. Przytacza on na poparcie swej teoryi, zmiany powierzchowności dziecka, które często w różnych fazach swego istnienia, przypomina koleją rodziców, dziadków, dalekich przodków, albo też bocznych członków rodziny. Świadczy to o istniejących w człowieku „dziedzicznych pierwiastkach“, zarówno moralnych jak fizycznych. Są one mniej więcej utajone, dopóki inne biorą górę, ale w danym razie mogą się odezwać, zmieniając go z gruntu i znowu innym ustąpić.

Myśl ta z pozoru dziwaczna, a jednak trudno odmówić jej prawdopodobieństwa. Wiemy niestety wszyscy z doświadczenia, że charakter człowieka jest nieraz ruchomym piaskiem, na którym szalony chyba może chcieć trwałe gmachy budować. Czy jednak działają tu warunki życiowe, otoczenie, środowisko, czy też są one tylko pośrednim powodem zmiany, a znajdują utajonych sprzymierzeńców w popędach dziedzicznych? Jest to zagadnienie do rozstrzygnięcia niepodobne, które zostawiać musi obszerne pole domysłom i badaniom.

Można się zgodzić lub nie na tezy Daudet'a, ale przyznać trzeba, iż problemat przez niego poruszony jest nowym i ważnym.

Sam problemat jednak powieści nie stanowi, trzeba jeszcze coś więcej, a tego więcej absolutnie brakuje w Haevesie, opowiadanie wlecze się monotonnie, wypadki zaś mogą być tylko uważane jako przykłady, które służą autorowi do demonstrowania swej myśli. Tym sposobem bohaterowie są abstrakcyą i reprezentują pewne idee, ale to nie są ludzie z krwi i ciała.

Dla sprawiedliwości zaznaczyć trzeba, że podobny sposób pisania nie jest własnością samego Daudet'a, posługuje się nim cała szkoła impresyonistów, do której zbliża się „Haeves“ brakiem akcyi i zamknięciem powieści w ramach ściśle psychologicznych. Niema w niej ani jednej sceny żywej, realnej, odczutej. Niema zwykłej rozmowy, ani żadnego słowa wypowiedzianego w sposób naturalny. Niema też zwyczajnych czynów, ani zwyczajnej logiki, są tylko rozprawy w których sam Haeves, kochanka jego Klara, ksiądz Judin, uczony Traban, dawny nauczyciel bohatera, wypowiadają to, co im mówić wypada.

Haeves, w chwili gdy był pod wpływem pierwiastku matki — rodzice odumarli go dzieckiem — pokochał Klarę, porzucił ją gdy przeważył pierwiastek ojcowski, który pobudzał go do studyów i czynów. Klara nie stawiała mu wprawdzie żadnych przeszkód w tym względzie, przecież uczuł on nagle przesyt, znużenie i niezwalczoną potrzebę samotnej pracy. Opuścił więc Klarę bezmiłosiernie, wbrew przyrzeczeniom że się z nią ożeni, ażeby prowadzić swe doświadczenia życiowe.

Spotyka wśród nich same rozczarowania, nauka wydaje mu się marną, a marniejszemi jeszcze jej reprezentanci. Od czasu do czasu, odbiera smutne wieści od Klary, która cierpi straszliwie, jakkolwiek znosi z wzorową cierpliwością jego niezrozumiałe postępowanie. Wówczas doznaje wyrzutów sumienia, ale te wyrzuty nie są dość silne by go zmusić do spełnienia obowiązku. Słusznie więc bardzo stary proboszcz woła w wybuchu oburzenia: „Kradniecie, zabijacie, kłamiecie, mówiąc: Nie jestem za to odpowiedzialnym, działałem pod wpływem pradziada, który kierował moją ręką. — Zmieniłem się, bom uczuł w sobie nowe siły i oprzeć im się nie mógłem. — I ludzie wierzyć wam mają? mają uznawać te piękne doktryny, bronione nawet przez poważnych ludzi? Niema już sumienia, niema moralności, niema żalu za złe spełnione, skoro się nawet nie uznaje winy.“

Narzekania księdza Judin nowemi nie są, powtarzano je tysiąckrotnie z powodu determinizmu. Tutaj jednak mamy determinizm skomplikowany różnolitemi dziedzicznemi wpływami, które sprawiają, że Haeves działa równie szczerze gdy kocha i pragnie poślubić, jak wówczas gdy opuszcza. Nie jest to zwykły uwodziciel i zmiennik. Gdzież więc znaleść prawdziwą istotę człowieka? jakim sposobem ją rozpoznać? Czy ona istnieje?

Po wpływie matki i ojca, opanowywa bohatera wpływ najgorszy — wuja rozpustnika. Temu także oprzeć się się nie może, a nawet nie usiłuje. Z odrazą w sercu, rzuca się w otchłań zepsucia, a wreszcie niespodzianie wśród orgii posłyszane utwory Mozarta i Beethovena, budzą w nim wspomnienie Klary. Ona je grała. I nagle zły czar pryska, Haeves uwolniony od wszystkich upiornych sił, odnajduje samego siebie. Własna jego indywidualność długo kształtowała się w tajemnicy, aż wreszcie objawia się samodzielnie. Teraz dopiero jest on sam sobą.

Tak przynajmniej zapewnia autor, w myśli czytelnika przecież budzą się wątpliwości. Czy niema tu znów jakich dziedzicznych wpływów, lub czy też te umilkły na zawsze?

Haeves porzuciwszy nagle współbiesiadników, spieszy do ukochanej. Ona przyjmuje go serdecznie, jakby nigdy przeciw niej nie zawinił, ale długie cierpienia wyczerpały jej siły, radości przenieść nie może, umiera, a kochanek zabija się nad jej ciałem.

Autor kończy słowami, iż dziedziczność ustąpiła fatalizmowi.

Przyznać trzeba, że podobne teorye niezmiernie komplikują życie, że jeśli mamy się obawiać opętań z powodu dziedzicznych wpływów nieskończonego szeregu przodków, których jesteśmy umysłowemi spadkobiercami, małżeństwa z rozsądku stać się muszą wprost niemożliwe, bo chyba ślepa namiętność mogłaby zmusić jednostkę do rzucenia się na hazardy życia, wespół z osobą, która zawsze stanowić musi cyfrę niewiadomą, tem bardziej, że każdy już sam dla siebie jest taką zagadką.

Na szczęście istnieje cała szkoła, która także na podstawach naukowych, broni praw wyrobionej jednostki do samodzielności. Jeśli suggestya działa tylko na istoty słabo rozwinięte i nie może zmuszać do spełniania czynów sprzecznych z etycznemi pojęciami, tem mniej działać mogą wbrew tym pojęciom dziedziczne popędy. Wyrobienie charakteru, fizyczne i moralne zdrowie, oto najlepsza gwarancya przeciwko rozpaczliwym teoryom, które uchylać mają zasłonę z tajemnic naszej psychicznej istoty.

Nie można jednak teoryi kłaść na karb autorów, którzy ich użyli za podkład do swych utworów, ani winić Daudet'a, że z nich korzysta. Główna wada pierwszej jego powieści nie leży w treści ale w fakturze. Przytem uderza w niej różnica pomiędzy powszechnie przyjętym poziomem etycznym u nas i we Francyi, w kwestyi małżeństwa.

Pomiędzy Haevesem a Klarą nie istnieją żadne przeszkody, któreby mogły utrudnić lub chociaż tylko opóźnić ich połączenie, pomimo to, Klara oddaje się kochankowi, nie czekając ślubu. O tym stosunku wie jej babka, kobieta

---

godnie, podczas gdy z oczu przezierało cierpienie prawie fizyczne.

Wobec oficera nie wolno jest przemówić nie po rosyjsku, to też zwlekałem niezręcznie z odpowiedzią, jakbym zapytania niedosłyszał. Na szczęście orkiestra zagrała zaproszenie do kontredansa. Izmaiłow zerwał się z dziwnym wdziękiem, szczęknął obcasami, wygiął się przed panną, jak łabędź i rzekł:

— Oto kontredans! Służę...

Przepraszam, ale już tańczę z panem Maurycym Zychem.

— A! z *panom Mawricom...* — szepnął oficer przez zęby, wcale na mnie nie patrząc, i odszedł w kierunku grupy statystów.

Zaczęliśmy tańczyć.

— Nie pogniewa się pani na mnie, jeżeli zapytam otwarcie, czy pan Izmaiłow nie jest narzeczonym pani? — rzekłem ze spokojem, gdyśmy się zatrzymali podczas pierwszej figury.

— Na szczęście jeszcze nie jest.

— Jeszcze i na szczęście?

— Tak.

— Nie rozumiem, jak można łączyć te dwa pojęcia.

— Bo pan może nie wie jeszcze, co to jest mus.

— Nie mogę tego wiedzieć, bo takiego musu na ziemi niema.

— Jestem najstarszą w rodzinie, — mówiła, jakby w celu obalenia mojego paradoksu — jest nas w domu ośmioro, ojciec ma bardzo małą pensyę.

— To i cóż z tego?

Spojrzała na mnie z łagodnością i jakąś żałosną ironią.

— Cóż z tego? — powtórzyła, jak echo.

— Sądziłbym, że lepiej jest nie wychodzić za mąż wcale, niż iść tak, z musu...

— I za policyjanta, panie... — powiedziała tak cicho, że ledwie dosłyszałem.

— Izmaiłow nie jest policyantem...

— Ale nim będzie.

Nadeszła nasza kolej i zaczęliśmy tańczyć. Podczas następnych figur zamieniliśmy jeszcze kilka zdań. Pamiętam, że powiedziałem:

— Czy panią zmuszają rodzice?

— Nie mówmy o tem, proszę pana.

— Niech pani lepiej opuści dom i pracuje na swe utrzymanie!... — powiedziałem jeszcze jako filozof i zwolennik równouprawnienia. Szczerze mówiąc, głupio postąpiłem. Twarz jej zbladła, jakby ją owionął mróz śmiertelny.

— Niech pan tego nie mówi! rzekła z niechęcią.

Po ukończeniu kontredansa, zaproszono nas na kolacyę. Panna Zapaskiewiczówna zginęła mi z oczu w tłumie osób, przechodzących do pokoju stołowego. Znalazłszy się tam, spostrzegłem, że już siedzi przy niej nieodstępny, atramentonosy Izmaiłow. Z szarego końca stołu, ustawionego w podkowę, Rogowicz przywoływał mię znakami, przypominającemi ruchy człowieka, który za pomocą liny przyciąga do brzegu statek parowy. Przecisnąłem się ku niemu i poprosiłem, aby mię zaznajomił z niejakim panem Zapaskiewiczem, jeżeli taki na balu istnieje, i aby mię posadził przy kolacyi obok niego.

— A ja właśnie miałem zamiar posadzić cię przy Maniusi, — mówił tłuścioch. Bylibyście się rozmówili co do lekcyj.

Wybiłem mu z głowy ten zamiar uwagą, że ja, jako prosty żołnierz, nie mam prawa się dzieć w bliskości oficerów, a panny Maryi nie podobna wyobrazić sobie bez otaczającej ją plejady szlif i mundurów. W rzeczy samej panna Kłucka flirtowała zawzięcie z adjutantem Siewriugę, posługując się mową rosyjską o najczystszym akcencie. Rogowicz sposępniał i poprowadził mię do miejsca, gdzie siedział referent powiatowy, radca tytularny, Zapaskiewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

bez skazy, wie stary proboszcz, który jest u niej codziennym gościem i oboje zdają się uważać za rzecz obojętną małżeństwo legalne mające kiedyś nastąpić.

Rzecz to tem bardziej znamienna, iż Haeves, nie jest radykalnym zwolennikiem wolnych związków i nigdy w myśli nawet nie cofa się przed poślubieniem Klary, tylko bez żadnego powodu odkłada on zawsze małżeństwo do dalekej przyszłości. Ani Klara, ani jej babka nie kładą na nie nacisku. Haeves jest przez nie przyjmowany serdecznie, dom ich uważa za własny, tylko stary proboszcz gderze trochę, ale jakby z urzędu. Klara zaś nie traci ani szacunku ani stanowiska. Sam więc sposób traktowania tej kwestyi, jest charakterystyczny, bo mamy tu do czynienia ze zwyczajnemi kobietami, nie podobnemi wcale do Klotyldy w „Doktorze Paskalu“ Zoli. Jest to więc dowód wymowny, jak małżeństwo zarówno pod względem prawnym jak religijnym jest lekceważone we Francyi.

Druga powieść Daudet'a „Czarna gwiazda“ względnie do Haevesa stanowi ogromny postęp, faktura jest doskonalsza, akcya lepiej umotywowana, charaktery pogłębione, nadewszystko bohater, noszący z powodu jednego z dzieł swoich, przezwisko Czarnej gwiazdy, narysowany i wycieniowany jest z niezmierną subtelnością. Przytem styl nabrał giętkości i siły, widocznie autor pracował nad nim skutecznie.

Powieść jest historyą sławnego człowieka, odkrywa wszystkie małostki i grzechy jakie kryć się mogą pod jego wielkością. Rzecz dzieje się w jednem z fikcyjnych państw, modnych dziś w literaturze, podobnym do Almondy Maeterlinck'a lub Alfanii Lemaitre'a, rządzi nim rejentka młoda jeszcze, wykształcona, wspierająca literaturę i sztukę.

Jeśli ona jest duszą stolicy, chwałą jej jest Czarna gwiazda. Dzieła jego rozchodzą się po całym cywilizowanym świecie, znakomitości, nawet głowy koronowane starają się o jego względy, lub o zaszczyt, zamienienia z nim słów kilka. Otacza go nietylko uwielbienie, ale także szacunek powszechny. Słynie jako wzorowy mąż, ojciec, dziadek. Wiek jego dojrzały zaczyna chylić się ku starości, nabiera jej majestatu, nic nie tracąc z męzkiej powagi.

Żona cicha, poświęcona, była mu zawsze wierną towarzyszką i zestarzała się w cieniu jego chwały. Syn ożenił się według serca, wprowadził w dom ojcowski piękną Maryę, która obdarzyła go ślicznem dzieckiem, będącem pieszczotą dziadka, więc chociaż syn nie odziedziczył jego talentu, Czarna gwiazda może mieć nadzieję, że nie zejdzie bezpotomnie i odrodzi się w ukochanym wnuku.

Co prawda i syn i córka, nie odpowiadają temu, czego można się było po dzieciach takiego ojca spodziewać. Syn powolny, nieśmiały, tylko dzięki nazwisku otrzymał odpowiednie stanowisko. Córka jest inteligentną, ale kaleka od lat młodych, tylko spoczywając na sofie lub wożona w wózku, bierze udział w życiu rodzinnem.

Obszerny dom wielkiego człowieka, gromadzi wszystkie znakomitości stolicy, sama księżna Klotylka — rejentka, odwiedza go często. Powieść rozpoczyna się ucztą jubileuszową. Zbiera się na nią inteligencya kraju, delegacye zagraniczne, osobiści przyjaciele jubilata, śmietanka towarzystwa.

Opis w rzeczywistości jest wspaniały, wśród pochwalnych hymnów na cześć jubilata, autor zręcznie zaznacza to, co się ukrywa pod świetnemi pozorami. Czarna gwiazda na korzyść swej indywidualności, wyzyskuje wszystko i wszystkich, a wśród mniemanych cnót domowych, rozpanoszył się jego bezgraniczny egoizm i rozpasane obyczaje. Żona i córka są pierwszemi ofiarami wielkiego człowieka, który pewny bezkarności, znęca się nad niemi. Synowa budzi jego pożądliwość! Nie poprzestając na tem, bałamuci on młode dziewczę, olśnione jego sławą, a to znów wznieca zazdrość rejentki, chcącej tę sławę dla siebie jednej zagarnąć.

Geniuszom wszystko wolno, prawa krępujące ogół, do nich stosować się nie mogą, oto tajemna dewiza wielkiego człowieka. Nie widzi lub nie dba o sprawione przez siebie cierpienia. Na żonę patrzy z pogardą. Zazdrość rejentki podnieca go tylko, bo jest dowodem jego potęgi. Nie zrzecze się umiłowanej dziewczyny, przywykł do niej, jej miłość stała mu się potrzebą, warunkiem swobodnej działalności myśli.

Jako człowiek, Czarna gwiazda postępuje ohydnie. Uwodzi nietylko inteligentną dziewczynę, która ulega czarowi jego umysłu, ale i piękną Maryę, hańbiąc własne domowe ognisko. Wywiera on wpływ demoniczny, a pomimo swych lat sześćdziesięciu, a dzięki sławie, znajomości serca, sofizmatom, któremi włada po mistrzowsku, umie olśniewać, podbijać i opanowywać. Fakta te wydają nam się trochę dziwne. Ale w społeczeństwie francuzkiem, miłość gra tak wielką rolę, iż tłomaczy nam te powodzenia starca, o którego dobijają się najmłodsze, najpiękniejsze i najpotężniejsze.

Pomimo swej zręczności, Czarna gwiazda nie umie skorzystać z uczuć rejentki. Władczyni jakkolwiek powabna, nie przemawia mu do serca, lubi on kobiety rozklęczone przed sobą, a tutaj wyższość położenia równoważyłaby jego geniusz, księżna obdarzałaby go swą łaską, a tego on nie chciał i nie może znosić. Przewaga własnej osobistości, posunięta do despotyzmu, oto rys naczelny jego charakteru, niepodobna mu było kochać kobiety, któraby nie poddała mu się niewolniczo, wolał więc zachować względem rejentki niepodległość uczuć, panować nad nią, jako mędrzec, nie zaś być kochankiem zależnym od sercowego kaprysu.

Uczucia te z niezmierną subtelnością analizuje Daudet, bo psychologia genialnego autora jest głównem zadaniem powieści. Wtajemniczeni w plotki literackie utrzymują, iż pierwowzorem był mu w tym względzie dziad żony, którego niektóremi rysami przypomina bohater „Czarnej gwiazdy.“

Trudno uwierzyć, by taki rzeczywiście był jego zamiar, by miotał pośmiertną potwarz na znakomitego człowieka, z którego rodziną się połączył, a jednak zarzut jest prawdopodobny. Tym sposobem, cała legenda o cnotach domowych autora „Nędzników“ ten pomnik, postawiony im przez żonę w „Historyi Wiktora Hugo“ przez świadka jego życia, byłby z gruntu zburzony zapewne na mocy późnych, a szczerszych dokumentów. Czy ma to być głos spóźnionej sprawiedliwości, której Daudet stał się narzędziem?

Bohater Czarnej gwiazdy obchodzi się z żoną pogardliwie, jak z idyotką, która niczego rozumieć nie może, teroryzuje syna, zaleca się do synowej, gra nieustanną komedyę, unieszczęśliwiając wszystkich w koło siebie, maskując przed obcymi ohydne instynkty i czyny patryarchalną powagą głowy domu.

Wkrótce po jubileuszu, następuje przełom w jego życiu, uderza w nie grom po gromie. Dziewczę, które kochał odbiera sobie życie zrozpaczone mniemaną oziębłością wielkiego człowieka, bo ten lękając się gniewu księżnej Klotyldy coraz ją rzadziej odwiedza.

W życiu domowem przełom jest jeszcze tragiczniejszy. Syn przekonał się naocznie, że własny ojciec był uwodzicielem jego żony. Wieść ta jest gromem, który rozdziera wszystkie serca i rozprasza rodzinę. Wielki człowiek pozoje samotny.

Burza zrywa się także nad drobnym krajkiem. Jest on anomalią, wśród potężnych sąsiadów, którzy pragną go zagarnąć od dawna, aż wreszcie staje się pastwą jednego z nich. Księżna Klotylda daremnie probuje odegrać rolę rycerki z bohaterskiego poematu, choć było jej ślicznie w kasku z piórami, nie zdołała odeprzeć nieprzyjaciela. Zmedyatyzowana utraca swe wyjątkowe stanowisko.

Wszystko więc w koło bohatera zdruzgotanem zostało. To, wśród czego wiek swój przeżył jako człowiek prywatny i człowiek publiczny istnieć przestaje. Nie upada on jednak pod temi ciosami. Miłość własna służy mu za

LAMPIARZ MIOTEŁKO.

(Dokończenie).

— Mama nie wróci nigdy do nas, — odrzekł, nie podnosząc głowy na syna, i nie przerywając sobie pracy. — Staś właśnie niósł do ust pełną jagód łyżeczkę; usłyszawszy słowa ojca, zatrzymał ją na połowie drogi; usta otworzył ze zdziwienia, i oczy błękitne rozwarły mu się szeroko, jakby z wielkiego przestrachu. — Zapomniał o jagodach, i jedna po drugiej spadała ze spuszczonej łyżeczki.

— Nie wróci, — tatko, co ty mówisz, mama nie wróci już do nas? — wyjąknął po chwili przez łzy, które lada chwilę trysnąć z oczu mu miały, i spuszczając łyżeczkę zupełnie na talerzyk. —

— A dokąd mama poszła, tatko, że nigdy do nas nie wróci? — Obszedł róg stołu i stanął u kolan ojca, zaglądając mu w oczy, jakby chciał się przekonać, czy go nie oszukuje. Biedne dziecko, czy mu powie, że uciekła od niego, że zostawiła męża i syna i poszła w świat, goniąc za szczęściem swojem? — Pocóż mu serce dziecięce zatruć postępkiem jej okrutnym. — Lepiej niech dowie się, że umarła, bo i umarła dla syna ta matka, która go porzuciła z sercem lekkiem, — której serce nie pękło, gdy na główce dziecka ostatni wycisła pocałunek.

Uczuł gniew na nią, że dla niej ranić musi duszę dziecka, i w tem oburzeniu chwilowem rzekł:

— Mama umarła, Stasiu, — mamę Bóg powołał do siebie. Jak gdyby moc tajemnicza popchnęła go z tyłu, pochylił się Stasiu naprzód nagle, jedną rączką uchwycił kurczowo kolano ojca, drugą ręką jego.

— Umarła, — krzyknął i twarzyczkę jego dziecięcą wykrzywił ból gwałtowny, — umarła — powtórzył rozdzierającym głosem, i pośpiesznie, jak w furyi, zarzucił ramiona na szyję ojca i przycisnął główkę do piersi jego szerokich. — Musiał mu ból zrobić, tak silnie uderzył o nie.

Kołysał główkę złotą na piersi ojca, tłocząc ją czołem, a całem ciałem jego podrzucał jakby dreszcz szalony.

— Tatko, tatko, co ty mówisz? — Ona umarła, umarła, umarła! —

Ojciec położył na włosach jego rękę spracowaną i twardą, — brwi krzaczaste, czarne nasrożyły mu się, a z pod powiek, jak gdyby zaprzeczyć chciała groźnemu wyrazowi czoła, spłynęła wielka przezroczysta łza, stoczyła się na wąs szpakowaty i opadła na główkę złotą dziecka.

— Stasiu, Stasiu, uspokój się, — mówił głosem, w którym nie było czułości ni bólu, który drżał jednak w swoich niskich tonach, jak gdyby mu trudno było wydobyć się z piersi przytłoczonych, jak gdyby mu żal powietrze zapierał.

Coraz słabsze łkanie wstrząsało piersią dziecka, burza która szalała przed chwilą, oddalała się już, tylko raz po raz silniejsze łkanie przypominało, że huczała kiedyś. —

Uspokajał się coraz bardziej, — miejsce rozpaczy chwilowej zajęło osłabienie jakieś i spokój taki, — jak kiedy człowiek wszystko wypłacze co na sercu mu leży.

— Tatko, odezwał się cichutko, — a gdzie mama teraz jest? —

— U Boga, — tam zobaczysz ją znowu.

— Tak, — ale . . . , — nie dokończył zapytania, które serce dziecka mu dyktowało, widać tylko było, że nie o to pytał, co mu powiedziano.

Panu Miotełce serce wezbrało rzewnem uczuciem, jak gdyby zamknąć w sobie chciało dziecko, płaczące po matce.

Bał się odetchnąć silniej, aby pierś podnosząca się mocniej, nie wstrząsnęła złotą główkę Stasia. — Walczył z pragnieniem posadzenia go sobie na kolanach i ułożenia sobie główki dziecka na piersi, — co byłby za to dał, gdyby to mógł spełnić, — ale choć zabij, natura jego dziwna nie śmiała mu okazać podobnej czułości, czy bała się jej. —

Rzekł tylko:

tarczę i wszystko osładza. Wszakże zwycięzca — młody bohater, oddaje cześć jego geniuszowi, wyróżnia, ofiaruje wyjątkowe stanowisko w swej stolicy, godności, zaszczyty. Tam na szerszej arenie znajdzie więcej aniżeli tu utracił.

Tym ostatnim rysem dobił Daudet swego bohatera, jeśli jednak do tej chwili mógł on być wizerunkiem Wiktora Hugo, odtąd przestaje być do niego podobnym. Wiktor Hugo był zawsze wiernym niezłomnie swym przekonaniom, dał tego dowód długiem wygnaniem.

Może też autor nie miał brzydkiego zamiaru, jaki mu przypisują ogólnie? ale to pewne, że spotrzebował wiernie zewnętrzną stronę autora „Nędzników". Każdy, kto go znał osobiście, odnajdzie w bohaterze Czarnej gwiazdy jego charakterystykę w obejściu, sposobie mówienia, odnajdzie jego całą postać, na zawsze wyrytą w pamięci.

Ostatecznie bohater ten pomimo geniuszu, wyraźnie naznaczonego przez Daudet'a jest absolutnie wstrętny. Jest to jeden z tych *nadludzi*, którzy wzniósłszy się umysłem po nad ogół, depcąc zwykłe prawa moralne, dochodzą wprost do potworności i mogliby obrzydzić wszelką wielkość.

„Niech nie znajdzie się wielki człowiek na twej drodze". Oto życzenie, które należałoby złożyć każdemu i każdej z wstępujących w życie. Zdanie to wypowiedziane było już niejednokrotnie w prozie i poezyi, zanim Nietzsche sformułował prawa niektórych do deptania podścieliska ludzkiego. Jeszcze Mickiewicz ostrzegał przez usta Wallenroda serca niewieście, przed pokusą ukochania wielkich ludzi. Jakże ich jednak inaczej pojmował! Jego bohater posiadał serce, które miodem osobistego szczęścia uciszyć się nie dało, bo brało w siebie bole milionów, bo zdolne było dla umiłowanych idei, do poświęcenia zarówno samego siebie jak i tych, których kochał. Charakter panował u niego nad uczuciem.

Nic wspólnego z taką wielkością niema bohater Czarnej gwiazdy. Charakter jego jest marny, a w sercu własnem wzniósł on jedynie ołtarz dla samego siebie i cześć bałwochwalczą oddaje. Wielkim więc jest on tylko we własnem pojęciu i pojęciu marnego świata, który pozory bierze za prawdę, frazes za przekonanie, blask umysłu za blask duszy. Człowiek ten wala i znikczemnia brudnemi namiętnościami, to co go otacza, gdy istotna wielkość podnosi wszystko czego dotknie do swego poziomu.

Daudet wprawdzie nigdy swego bohatera wielkim nie nazywa, powtarza o nim tylko ogólne zdania, sam zaś zachowuje się względem niego objektywnie, przedstawia jego słowa i czyny, z których każdy sąd własny wyciągnąć powinien. Indywidualność autora kryje się i znika zupełnie, czyniąc zadość wymaganiom powieści. Jest ona dobrze obmyślaną i posiada niezaprzeczone przymioty stylu i obrobienia. A jednak... Jednak pomimo tych wszystkich zalet „Czarna gwiazda" czyta się ciężko, z trudnością. Zalety dostrzega się dopiero po dojrzałej rozwadze. Książka nie pochwyci czytelnika, nie przykuje do żadnej karty, nie zainteresuje losem bohaterów, chociaż indywidualności odmówić im nie podobna.

Młody Daudet, posiada wszystko, co dać może wytrwała praca, brak mu tego, co się nabyć nie da, tej iskry, która potrafi ożywić najmarniejszą treść, odświeżyć przedmiot sto razy obrobiony, uprawdopodobnić nadzwyczajność i szarą nić w złoto przemienić.

Przypomina on owe królewskie dziecię z baśni czarodziejskich. Dobre wieszczki obdarzają je przy chrzcie wszystkiemi przymiotami, ale zjawia się złośliwa istota, która niweczy je maleńkiem słówkiem. Leon Daudet obdarzony jest rozumem, wiedzą, techniką powieściopisarską. Posiada najlepszego kierownika we własnym ojcu, otwarte są dla niego szranki literackie, ale nie został obdarzony talentem.

Czy talent istnieje w nim utajony, jak różne dziedziczne pierwiastki w Haevesie, czy odezwie się kiedy i zabłyśnie całą świetnością? Kwestya to bardzo ciekawa. Na teraz mówić można tylko o tem co jest, nie przesądzając przyszłości. Trzeba zawsze przed nią postawić znak zapytania?

Walerya Marrené-Morżkowska.



Moralność niezależna.

Czy naprawdę tak bardzo szczęśliwym nazwać można tego, kto zachowawszy wierzenia dzieciństwa i prostą katechizmową moralność kroczy po wąskiej lecz utartej ścieżce? Nie zna on istotnie walk, trudności i wahań: jeżeli w myśli jego pojawi się jakaś wątpliwość, przytłumi ją skwapliwie, jako podszepty szatana. Pozbawiony jest przecież najwyższej rozkoszy ludzkiej, jaką daje myśl samodzielna, nie błądzi może, ale i na szczyty nie wychodzi. Tymczasem te rozbitki, które dziś może trwożnie oglądają się za podstawą dla moralnego światopoglądu, gdyż skalpelem krytyki poniszczyły wszystkie dawne autorytety, zawsze mają przed sobą nadzieję nowego lądu. Kto wie, czy nie będzie on wyższym, mocniejszym, skąpanym w czystszem, orzeźwiającem powietrzu. Lądem tym będzie przedewszystkiem własny ich umysł wzmocniony przez myśl samodzielną i śmiały, zahartowany w trudnościach myślenia i w ogniu wątpliwości.

Kwestye etyczne należą w naszym czasie do najwięcej palących i niepokojących zagadnień. Źródła ich poczynamy szukać nie na zewnątrz nas w transcedentalnej potędze lub utylitarnej fikcyi, ale w samym składzie i dążnościach ludzkiej natury. Etyka łączy się tu nierozdzielnie z psychologią, przestaje pisać recepty według dowolnie przyjętej zasady, ale szuka źródła natchnień w instynktach i właściwościach duszy ludzkiej.

Sfera czynów materyalnych człowieka rozszerzyła się przez wytworzenie narzędzi, z których najpierwotniejsze wskazują wyraźnie, iż są przedłużeniem i pomocą ręki, a wszystkie następne, choćby najbardziej skomplikowane uważać można za broń w walce o byt z naturą lub ludźmi. Sfera moralna człowieka rozszerza się również bezustannie. Jego chęci, dążności, sympatye promienieją na zewnątrz, obejmując coraz to szersze koła, wyrażając się w coraz to nowych objawach. Objawy te uzasadnienie swe i pobudkę znajdują we właściwościach natury ludzkiej, w duszy człowieka, a nie w jakimś nakazie zewnętrznym, w sankcyi wyższej, lub w postawionym à priori obowiązku.

Najnowsze systemy etyczne tem się właśnie od dawnych różnią, że nie stawiając przepisów i norm postępowania szukają źródła pobudek we właściwościach ludzkiej natury. *Nietzsche*, filozof egoizmu, szukał go w silnie budzącej się indywidualności, w dążeniu do władzy. W uczuciach sympatycznych, w przewadze ich nad egoistycznemi i w bogactwie życia szuka uzasadnienia wszelkiej moralności drugi ze współczesnych nam moralistów *Jan Marya Guyau*.

Przedwcześnie zmarły filozof-poeta doczekał się już wykładu swych teoryi w dziele

---

— Nie płacz, Stasiu, nie płacz, mamuni dobrze teraz, — zjedz swoje jagódki, zjedz.

Uśmiech lekki zakłopotania, czy też zawstydzenia, błąkał mu się po twarzy, że usta jego męskie tak czule przemawiają. —

Staś usłuchał jego prośby i powrócił do jagód swych.

Z żalem spoglądał na kilka leżących na ziemi, i począł zajadać, podzwaniając znowu łyżeczką o talerzyk.

Po chwili jednak przypomniał sobie zmartwienie swe, spojrzał na ojca z pod czoła ogromnemi, bławatkowemi oczyma, na których łzy jak rosa srebrna błyszczały, usteczka skrzywiły mu mu się jak do płaczu, i przykładając paluszek do nich, jadł swoje jagódki wolno i obojętnie.

Cały dzień był już smutnym: — nie wywłóczył z kątów zabawek swych, ani nie szedł na podwórze, aby zabawić się ze swoimi rówieśnikami.

Siedział na ławeczce małej, w kącie między kanapą i szafą nie przemówił słówka, tylko raz po raz westchnął głęboko i zrobił minkę jak do płaczu. Ojciec śledził go, spoglądając co chwilę na niego.

Miotełko czuł wyrzuty sumienia, że sprawił mu takie cierpienie; chwilowe rozgoryczenie mówiło przez niego, a on głupi zranił niewinną duszę dziecka. — Nie spodziewał się, że Staś tak głęboko uczuje śmierć matki przy swoich ośmiu latach. —

Był gotów powiedzieć mu, że go oszukał, — ale jakże mu to wytłomaczyć. Kto wie nawet, czy tem nie pogorszyłby sprawy; tak przeboleje niedługo stratę matki, a gdy przyzwyczai się do myśli, że jej nie ma na świecie, — przestanie też pragnąć połączenia się z nią. —

Tak rozmyślał nad swoją pracą i pobijał młoteczkiem żelastwo, a młoteczek zdawał się przytakiwać myślom jego klekotem swoim. —

— Tak tak, panie Miotełko, tak, tak, tak.

Nazajutrz spostrzegł pan Miotełko krótko po południu, że Stasia niema koło niego, myślał że jest na podwórzu. Tymczasem, gdy długo nie wracał, poszedł sam go szukać. — Na podwórzu go nie było, przeszukał całą kamienicę, i nigdzie nie mógł go znaleść.

Zaniepokojony wrócił do sklepiku i czekał jego powrotu. Przerywał sobie co chwilę robotę, i podchodził do okna, aby zobaczyć, czy Staś nie idzie. —

Czekał długo, — bo mogła już być szósta godzina, gdy we drzwiach, prowadzących do przybocznego pokoju, ukazała się złota główka Stasia, który wszedł podwórzem, aby nie być spostrzeżonym. —

Miał minkę wystraszoną, i wpatrywał się w ojca szeroko otwartemi oczyma. Pan Miotełko nie pytał go więc, gdzie tak długo bawił, aby go nie mięszać bardziej; żal mu było chłopca. —

Swoim zwyczajem zasiadł w kącie swoim między kanapą a szafą, i nie ruszał się prawie do wieczora. Nazajutrz powtórzyło się dosłownie zniknięcie jego ze wszystkiemi szczegółami — znowu wrócił krótko przed wieczorem, i spędził resztę dnia, siedząc w swoim kącie.

Zaniepokoiło to pana Miotełkę i postanowił go śledzić odtąd, — zamknie sklep na godzinę lub dwie, i pójdzie za nim, — może w ten sposób wypośrodkuje, gdzie syn jego spędza czas poobiedni. —

Następnego dnia nie spuszczał go z oczu, a gdy się przekonał o zwykłym czasie, że Staś opuścił mieszkanie, ubrał się jak do wyjścia, zamknął sklep i wyszedł na ulicę. —

Ujrzał Stasia już dość daleko przed sobą; pospieszył więc, aby nie stracić go z oczu, co przy krótkim jego wzroku bardzo było możliwem. —

Szedł za nim w oddaleniu kilkudziesięciu kroków niepostrzeżony. — Prześli jednę i drugą ulicę, i wyszli z murów miasta, postępując szeroką, cienistą szosą: wtedy nagle Staś zboczył z drogi i zniknął w bramie... cmentarza, który z białemi nagrobkami i krzyżami swemi widnym był z daleka. —

Dwie aleje starych, rozłożystych kasztanów o potężnych czarnych pniach przeżynały cmentarz, krzyżując się w jego środku. Po obu

Alfreda Fouillée, nauczyciela swego, przełożonem niedawno na język polski.*)

Praca A. Fouillée obejmuje całokształt teoryi młodego myśliciela (Guyau umarł w roku 1888 w wieku lat 33-ech) przeplatając prozę wierszami wyjętemi z jego dzieł, a wykład systemu przerywa opowiadaniem o kolejach jego życia. Bo też i życie to tak dziwnie splotło się z myślą i pracą twórczą, z sympatyą serdeczną dla ludzi, natury, piękna i uczucia, że pracę A. Fouillée zaliczyć można prawie do utworów poetyckich ze względu na treść, jakiej dostarczyła biografia i prace filozofa.

Rozmiary artykułu pozwoliłyby mi bardzo pobieżnie rozpatrzeć całość teoryi Guyau, ograniczę się przeto do tych, które wypowiada o moralności, czerpiąc z dzieła samego *Guyau* o etyce (Esquisse d'une morale sans obligation ni sanction. Paryż 1890 r.)

Czas wielkich wysiłków moralnych i czynów bohaterskich już minął. Zanadto jesteśmy dziś szczęśliwi, aby być głęboko moralnemi. Tak łatwo zadowolnić nam życzenia nasze, czyniąc dobrze, że o pokusach, jakim ulegał Chrystus na pustyni niema dziś mowy. Niema kusiciela, ale za to niema i Chrystusa. W innem znów miejscu, mówiąc o karze na przestępców, powiada, że, dzięki ekonomii sił, społeczeństwo reaguje dziś znacznie słabiej na antispołeczne czyny swych członków niż dawniej, wogóle więc nietylko przepisy moralności, ale i instynkty moralne są dziś inne niż w czasach dawnych. *Nietzsche*, który również zauważył był te zmiany, przypisuje je degeneracyi gatunku człowieka, osłabieniu siły popędów i ubolewa nad niebezpieczeństwem zniewieściałości, jakie nad rodzajem ludzkim zawisło. *Guyau* o miększym, wrażliwszym nastroju umysłu upatruje raczej zmianę łożyska, w które przelał się nadmiar sił ludzkich, przewagę coraz wyraźniejszą uczuć społecznych nad egoistycznemi. „Uspołecznienie stało się dziś kategoryą myślenia równie nieodłączną od umysłu naszego, jak czas i przestrzeń nie możemy wyobrazić sobie po za społeczeństwem."

Wszystkie instynkty i popędy nasze, wśród których świadome stanowią tylko drobny punkt świetlany, dążą do podtrzymania życia, do zwiększenia jego natężenia. Owo życie znów nie tylko przejawia się w wewnętrznej czynności indywiduum, ale również przelewa się i wyraża w czynach. Metafizyczny pierwiastek życia, jeżeli kto chce siły, jako uogólnienie wszystkich funkcyj organizmu i umysłu, jest przyczyną i celem wszystkich czynów ludzkich. *Moralność przeto będzie nauka, zajmująca się środkami podtrzymania i rozbudzenia umysłowego i materyalnego życia.* Działać to żyć, powiększyć sferę działania, to powiększyć ognisko życia wewnętrznego. Płodność umysłu, uczucia, woli, dążą do wylewania się na zewnątrz, do wzajemnego oddziaływania na siebie indywiduów ludzkich.

Rozlewność życia, która jest zasadniczą jego właściwością, tłomaczy nam przeto dążność człowieka do działalności, ale zdawałoby się, że tu spotykamy właśnie kwestyę sporną: czem uzasadnić wyższość czynów moralnych, społecznych, nad ujemnemi, które również mogą być przejawem siły i życia. Nie zapominajmy przecież, że czyny antyspołeczne, wpłynąć muszą ujemnie na samo ukształtowanie i natężenie życia, że jednostka szkodząc społeczeństwu dobrowolnie usuwa się z jego szeregów; uchylając się od obowiązków wspólnego życia nie korzysta z dobrodziejstw, jakie ono daje, nie odczuwa korzyści sympatycznych i społecznych czynów i uczuć. Dla autora życie dla drugich, życie w społeczeństwie jest tak koniecznem, że organizm najdoskonalszy, najsilniejszy jest jednocześnie i najwięcej altruistycznym, a najsilniejszymi przejawami życia będą myśl i miłość. Trudno nie uledz urokowi teoryi, która niewątpliwie ma wiele głębsze uzasadnienie od wszelkich teoryi utylitarnych, szukających źródła i celu moralności, choćby w szczęściu największej liczby jednostek. A jeżeli szczęście owo, szczęście masy jest dla człowieka obojętnem, jeżeli stawia on po nad nie udoskonalenie jednostek wybranych, to utylitaryzm żadnem dla niego nie będzie już wytłomaczeniem. Moralność będąca wynikiem właściwości naszego organizmu. korzystna dla jego podtrzymania, tkwiąca zasadniczo w ustroju życia, które jest płodnością, które musi płynąć heroicznie i oddawać się drugim, aby istnieć w pełni, to zasada, której już zaprzeczyć nie podobna. Chodzi więc tylko o dowód, że istotnie nasze wewnętrzne ja. idąc za własnym tylko popędem, dążyć będzie do czynów społecznych, odrzucać będzie egoizm jako niekorzystny dla siebie samego.

Ciągłe rozszerzanie sfery działalności i sympatyj jednostek zdaje się teoryą *Guyau* podtrzymywać. Cywilizacya stworzyła dla nas warunki życia, które pozwalają na ekonomię sił, nie zużywając ich na bezpośrednie starcia w codziennej walce o byt. Rozwój idzie bezwątpienia w kierunku ekonomii sił, pozwala więc jednostce na obejmowanie myślą, uczuciem coraz dalej od niej leżących zakresów. Istotnie weźmy naród najbogatszy w Europie, Anglików, gdzie liczniejsza niż w innych społeczeństwach warstwa wolną jest od troski materyalnej. Historya przekonywa nas, że Anglicy nie są bynajmniej sentymentalni, że brutalne instynkta naznaczyły krwią niejedną kartę ich historyi, a jednak dziś w żadnem ze społeczeństw europejskich nie spotykamy się z objawami tak daleko idącego altruizmu jak w Anglii. Kto dopomagał walczącej o niepodległość Grecyi? Nietylko rząd angielski, widzący w tem korzyść dla swej polityki, ale i naród, bezinteresownie współczujący walce o wolność. W Anglii masy (mianowicie olbrzymie stowarzyszenie Trades-Unionów robotniczych) najwyraźniej z wszystkich krajów oświadczyły się z sympatyą dla sprawy zniesienia niewolnictwa podczas secesyjnej wojny amerykańskiej. A jednostkowe przykłady takiej n. p. miss Marsden, która aż na krańce Syberyi jedzie odszukiwać trędowatych? Nie będziemy przecież tłomaczyli tych niespotykanych w innych społeczeństwach faktów wspaniałomyślnem usposobieniem anglików, bo inne narody wiele wcześniej od nich takiego usposobienia dawały dowody, bo Polacy już w XVI wieku bronili Wiednia przed Turkami, ale wyższością cywilizacyi wielkobrytańskiej i większą swobodą od trosk materyalnych. Przykłady interesowania się przez szerokie masy kwestyami nie dotyczącemi bezpośrednich ich interesów są zawsze liczniejsze wśród więcej cywilizowanych społeczeństw (n. p. Francya i jej rewolucye), aniżeli wśród tych, co stoją na niższym szczeblu kultury. Możemy więc śmiało twierdzić, że *Guyau* ma racyę, że czyny i interesy społeczne są wynikiem i warunkiem samejże rozlewności życia i że wraz z postępem wzrastać będzie uspołecznienie, a nie egoizm indywidualny. Nieodłącznem od sfery działalności etycznej jest pojęcie obowiązku. Obowiązek nie jest bynajmniej nakazem z góry, stojącym po za nami, ale wypływa z właściwości natury naszej. Możemy i pragniemy w pewien sposób uzewnętrznić i spożytkować życie, więc uczynić to powinniśmy. Obowiązek nie idzie wbrew naszej naturze, nie gwałci jej i nie żąda byśmy się jej zaparli, ale jest teoretycznym wyrazem naszej możności. I tu zgodzić się możemy ze zdaniem autora, jako z tendencyą, jaka w rozwoju upatrzeć się daje, przypuszczając, że będzie coraz więcej ludzi odczuwających i rozumiejących korzyści czynów społecznych, oraz, że i obowiązki przestaną być pojmowane w dzisiajszy szablonowy sposób.

Świadomość tego, co robić powinniśmy związaną jest z przekonaniem o naszej możności. Obowiązek to nadmiar życia, które pragnie wylewać się i działać. To też pojęcie o celu łączy się z drogą na jakiej osięgnąć go możemy, „myśl dopełnioną być musi przez dzia-

*) Moralność, sztuka i religia podług M. Guyau, przekł. J. Potockiego. Warszawa 1894 r.

---

ich bokach dopiero ciągnęły się długie rzędy gił. tworząc regularne kwadraty.

Staś zboczył zaraz z alei, i zniknął na chwilę z oczu panu Miotełce poza gęstwiną drzew i krzewów przeróżnych. — Miotełko nie chciał się zdradzać ze swoją obecnością, trzymał się więc alei, za której pniami ukryty mógł śledzić ruchy Stasia.

Gdy go widział, schodzącego między mogiły, jakaś myśl niewyraźna zaświtała mu w duszy, przykrość okropna ścisnęła mu piersi. —

Staś tymczasem począł chodzić od mogiły do mogiły, przechylając główkę, aby módz lepiej odczytać napisy na nagrobkach. — Czytał półgłosem, a gdy odchodził od każdego grobu, skarżył się głosem przytłumionym, dziecinnym.

— To nie mama, nie, to nie mama — i ani tu, ani tu nie mama. —

Pan Miotełko posuwał się za nim od pnia do pnia, nieraz znajdował się tak blizko niego, że słyszał wyraźnie szept jego skargi. —

— Ani tu, ani tu nie mama, — dochodził go co chwilę głos chłopięcy, w którym łzy drżały i prawdziwa boleść cierpiącej, dziecinnej duszy.

Przystępował do każdego grobu i zawsze ze skargą odchodził. Nad jedną mogiłą stał krzyż żelany z wizerunkiem Chrystusa; chłopiec odczytał najpierw napis na nagrobku.

— Ani tu nie mama, — szepnął.

Obejrzał się ostrożnie, czy nikt go nie widzi, potem oparł jedną rączkę na ramiona krzyża, i spinając się na palcach do twarzy Zbawiciela, ucałował ją. —

— Panie Jezu dobry, zmiłuj się nad mamą, mój Panie Jezu. —

Uklęknął na kamiennym stopniu przed krzyżem, i złożywszy rączki drobne do modlitwy, modlił się o spokój wieczny dla matki.

— A światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki wieków. Amen, — szeptał, wpatrując się w twarz Chrystusa. —

Pan Miotełko oparł czoło o pień drzewa, czuł, że pierś mu wzbiera jakimś wyrzutem szalonym, zachwiał się na nogach, jak kłos podcięty kosą. —

— Boże, Boże wielki, co ja zrobiłem, jęknął z rozpaczą, tłukąc głową o korę porąbaną. — ja łotr, ja nędzny — Boże, co ja zrobiłem.

Zwalił na słabą duszę dziecka taką boleść; chodzi biedactwo i szuka grobu matki, niewięcej jak tylko grobu, aby się pomodlić nad jej szczątkami, — a i tej mu nie dał pociechy. — Na obcym grobie, przed krzyżem Chrystusa, modli się za matkę. —

— I to wszystko ja zrobiłem, — Boże, jaki ja nędzny, jaki ja nędzny.

Wściekłość brała go na siebie samego.

Wrzała w nim burza tak straszna, że wszelkie przechodziła granice jego woli. — Nie miał tu co robić dłużej — już widział dosyć; — zawrócił więc z powrotem. Przechodząc tymczasem obok ławki, stojącej w cieniu drzew alei, spoczął na niej: potrzebował chwili spokoju i to natychmiast, aby załatwić się z sobą i z sercem swojem. Żona uciekła od niego, choć kochała go kiedyś, a węzeł między matką i synem on zerwał gwałtownie, — czuł dobrze, że to dziecko nie płakałoby tak po nim, nie chodziło po cmentarzach, szukając grobu jego, — gdyby matkę miało. —

Ona by mu wystarczyła, on nie może, — bo słońca u niego niema, ni promieni serdecznego ciepła. Jęk cichy wydarł się z piersi Miotełki, a głos jakiś szemrał bezustannie: — Nie umiesz dać nikomu słońca ni ciepła, więc jakżeż żądać możesz go od drugich; ukrył twarz w dłoniach, jak gdyby bronić się chciał przeciwko szeptom złowieszczym.

— I któż z nas, któż ma prawo do tego dziecka, które ja tak kocham, że przy niem dusza moja cała, — któż ma prawo, kiedy ona je opuściła sama? —

A serce odpowiadało mu znowu:

— Ona je sercem troskliwem, matczynem otoczy, — da mu to, czego ty mu dać nie możesz. — To jej dziecko.

Chwilę siedział w osłupieniu, jak gdyby łowił ostatnie echa duszy.

— Tak, to jej dziecko, — jej własność, — szepnął i dźwignął się ociężale z ławki i powlókł wolno do domu.

Jarogniew.

łanie, gdyż ten, który nie działa tak jak myśli, nie kończy swej myśli.“ Wola bowiem, myśl i czyn nierozdzielnie są ze sobą związane.

„Moralność jest więc jednolitością istoty ludzkiej, niemoralność zaś jej zdwojeniem, przeciwstawieniem różnych zdolności, które się wzajemnie ograniczają.“ Myśliciel nasz pomija całą powszedniość codziennego życia, nie chce widzieć rozdźwięku gnębiącego ludzi dzisiajszych, szukając tendencyi rozwoju. Jeżeli jednak instynkta i właściwości ludzkie wpływają na wytworzenie pojęcia obowiązku, to odwrotnie świadomość i pojęcia oddziaływają na kierunek życia. W naszych czasach przyjemności ludzkie przybierać się zdają coraz więcej społeczny charakter, życie jest więcej intelektualnem niż przed tysiącami lat, udział idei w kierownictwie życiem ciągle wzrasta. Zresztą i same przyjemności ludzkie stały się więcej społecznemi, mniej wyłącznie absorbują indywiduum, nie tracą, ale raczej zyskują przez podzielenie ich z drugimi. Takiemi są czynności umysłowe, rozkosze estetyczne, tu więc obowiązek i pojęcie tego, czego wymagamy od drugich nie staje w wyraźnej sprzeczności z naszem indywidualnem dążeniem.

Guyau nie jest fanatykiem bezwzględnej prawdy. Wypływa to z jego filozoficznego sceptycyzmu. Ponieważ nie wiadomo, co jest prawdą, ponieważ prawda absolutna jest abstrakcyą, więc prawdziwym ideałem będzie zupełna niezależność umysłu i swoboda dyktryn. Prawda mierzoną być powinna dobrem, jakie zdziała, lepszą jest iluzya płodna w następstwa, entuzyazmująca ludzkość do czynów szlachetnych, niż sucha i jałowa prawda. Podnoszenie znaczenia iluzyi, a brak czołobitności dla jakiejś bezwzględnej prawdy, to właściwość wyraźnie charakteryzująca umysł myśliciela z XIX wieku, rys wspólny *Nietzschemu i Guyau*, dwom wielbicielom intenzywnego, rozlewnego życia.

Czy jednak te zasadnicze postulaty teoryi moralnej *Guyau* potrafią nam wytłomaczyć etykę, która kieruje ludźmi? Czy odniesiemy się do nich, gdy chodzić będzie o wytłomaczenie skrajnego egoizmu, który często również pozbawionym nie jest siły lub najwyższych czynów poświęcenia, przy których istnienie samo jest zagrożonem? Guyau przewidział podobne wypadki. W egoizmie widzi zawsze ubóstwo umysłu i uczucia, odmawiając nawet Napoleonowi twórczego ducha i żywego uczucia. Co zaś do samopoświęcenia, to istotnie pojąć można, że bywają chwile tak natężonego życia, że ryzykowanie się na czyn ostateczny jest organiczną koniecznością, w której wola dopełnia nasze myśli i uczucia. Jedna godzina natężonego życia nieraz więcej warta, powiada, od długiej, monotonnej, bezbarwnej egzystencyi.

Poglądy *Guyau* w etyce jak i w innych dziedzinach są raczej genialną improwizacyą, niż wykończonym w szczegółach systemem wiedzy. Nie mniej pomysł uzasadnienia moralności nie przez jej cel, ale przez jej źródło i przyczyny nazwać bezwarunkowo trzeba głębokim. Z głębi istoty ludzkiej idą pobudki i kierunek jej postępowania. Pobudki te niekiedy tylko uświadamiane wywołują rozlewność energii i życia. Życie zaś „jest to płodność i produkcyjność; żyje ten, kto daje, zarówno jak ten, kto bierze i zyskuje.“

Jakim jest cel ludzkości i życia — nie wiadomo, *Guyau* przypuszcza jednak, że jest gdzieś, zgubiony we mgle oddalenia; odnaleźć kierunek wiodący ku temu celowi „jest to wielkie zadanie, które do nas należy“.

Dr. Z. D.

Szkoła i wychowanie.

Wychowanie narodowe.

II.

Do cennych zdobyczy współczesnej psychologii należy rozświetlenie ważnej roli: jaką w życiu naszem psychicznem grają czynności nieświadome.

Na charakter i umysł człowieka działa wiele wpływów nieznacznych i niedostrzegalnych, zasilających jego duchową skarbnicę zasobem uczuć, skłonności, poglądów, które więcej stanowią o kierunku jego życia niż rozumowania zasady, przekonania — wygłaszane w jego obecności lub przez niego samego świadomie i konsekwentnie powtarzane. — One to właśnie, te bezwiedne uczuciowe i umysłowe przywyknienia, stanowią głównie tło charakteru człowieka, — wszystkie zaś owoce jego rozumowań lub doświadczeń dopiero wtedy trwałe w naturze jego zostawiają ślady i na ukształtowanie jej wpływ zaczynają wywierać, gdy z dziedziny świadomości przejdą do sfery nieświadomej — gdy i one z kolei ustalą się przez zwyczaj i, jak poprzednio określone, zaczną w nim działać mechanicznie.

Ztąd nieraz uderza nas w życiu dziwna niezgodność między postępkami, a zasadami człowieka, sprzeczność między jego słowami a czynem, zdarzająca się nawet tam, gdzie podejrzenia o hypokryzyą są zupełnie nieuzasadnione. U ludzi dobrej wiary wypływa ona wprost z tego, że czynnościami ludzkiemi rządzi nie rozumowanie, lecz natura, zakorzenione przyzwyczajenia, wrodzone lub nabyte skłonności — uczucia, które stopniowo, nieznacznie opanowały człowieka wtedy może, gdy on z nich jeszcze sprawy sobie nie zdawał.

Uznanie tej prawdy stanowi ważną dla wychowawców wskazówkę — a zarazem gwarancyą, że praca ich pomyślne rezultaty przynieść może. — Gdyby ona mylną się okazała, wychowanie wogóle stałoby się niemożliwem. Bez stale i mechanicznie działających w duszy człowieka czynników, nie możnaby nigdy robić nawet prawdopodobnych przypuszczeń o dalszem życiu kształconego osobnika, nie mogąc przewidzieć ani wpływów zewnętrznych, którym podlegać będzie, ani siły doznawanych pobudek, ani rezultatów jego rozumowań.

Chodzi więc o to, aby w epoce wychowawczej otoczyć dziecko takiemi wrażeniami, które zapewniają jak największą możliwość nabycia dobrych skłonności i moralnych nawyknień, a usuwać w miarę możności te, któreby im przeciwdziałać mogły. Należy też baczną zwrócić uwagę na stopniowy rozwój duchowy wychowańca i do niego metodę postępowania stosować, nie przeciążając tych władz, które zaledwie w stanie zarodkowym się znajdują, a korzystając z tych, które rozwijając się wcześniej podatniejszy dla wychowawców stanowią materyał. — Tak n. p. wielkim błędem wychowania jest przedwczesne moralizowanie i wygłaszanie wobec malców kazań i sentencyi, których one ani rozumieć, ani nawet cierpliwie słuchać nie mogą. — Jeżeli ludzie dorośli niechętnie słuchają morałów, nudzą się niemi i mało z nich odnoszą korzyści — to czegoż oczekiwać po dzieciach, dla których najprostsze nasze rozumowania są całkiem niepojętą metafizyką. Wogóle w wychowaniu moralnem wszelkiego kaznodziejstwa jak najstaranniej unikać należy, gdyż odnosi ono skutki wprost założeniu przeciwne; często powtarzane, choćby bardzo szczytne nawet nauki — budzą niesmak i obrzydzą właśnie te cnoty, do których nakłaniać miały.

Od tych ogólnych uwag przechodząc do naszego ściślejszego tematu, t. j. do kształcenia uczuć narodowych, będziemy naturalnie zmuszeni oprzeć je na tych samych zasadniczych podstawach, gdyż jako część wychowania moralnego tym samym co ono prawom podlegać musi.

I tu więc także należy nam się wyrzec wszelkich kazań na temat miłości ojczyzny, jako bezskutecznych i do celu nieprowadzących, a zastąpić je całym szeregiem wpływów choćby drobnych, lecz stale w określonym działających kierunku.

Rzadkim niezmiernie bywa fakt, aby uczucia patryotyczne zbudziły się w duszy ludzkiej już w wieku dojrzałym: fakt ten wyjątkowy, wyjątkowych też bywa wynikiem okoliczności i to takich, których z góry przewidzieć ani przypuszczać nie można. — Są uczucia, nawyknienia, poglądy, których przyswojenie wymaga pewnego stopnia dojrzałości umysłowej i moralnej — patryotyzm jednak bynajmniej do takich nie należy. Można naprzykład z pewnem prawdopodobieństwem przypuszczać, że dziecko z wiekiem nabędzie przymiotów oszczędności, porządku, rozwagi, przezorności, rozsądku itd. nie należy jednak wyobrażać sobie, aby mogło się w niem wzbudzić przywiązanie do ziemi ojczystej — miłość kraju, jeśli w dzieciństwie uczuć tych w niego nie wszczepiano. Wiek, nauka, doświadczenie mają na uczucia człowieka wpływ miarkujący, hamujący — mogą je zrównoważyć, ustalić — lecz nie nadadzą im tej siły żywej i twórczej; tego ognia i zapału, który tylko w dobie dzieciństwa i młodości rozniecić można.

Patryotyzm jest kwestyą uczucia i wyobraźni, a nie rozumowania; w epoce życia w której uczucie działa najsilniej nie krępowane rozumowym krytycyzmem, gdy wyobraźnia najświeższa i najbardziej wrażliwa — dusza dziecka przedstawia najpodatniejszy grunt do rozwoju patryotycznych uczuć.

Wprawdzie wyraz „ojczyzna“ jest jeszcze wówczas niezrozumiałym, wprawdzie narodowościowe różnice nie przedstawiają się w dziecinnym umyśle dość jasno — nie o to jednak chodzi, aby dziecku ideę wyjaśnić — lecz o to, aby mu pewne uczuciowe wpoić nawyknienia.

Nikt pewno z ludzi dojrzałych, a gorących patryotów nie umiałby określić chwili, w której miłość ojczyzny zbudziła się w jego sercu, ani też ściśle oznaczyć wpływu, któremu powstanie tego uczucia zawdzięcza.

Im zaś mniej jasnemi i dostrzegalnemi są jego początki, tem głębiej zapuściło ono korzenie — tem szerzej się one w sercu rozrosły i rozgałęziły, tem trudniej je z niego wyrwać i wyplenić.

Poetyczne określenie, iż dziecko pije to uczucie wraz z mlekiem matki, określa rzecz nie ściśle — ale daje o niej pewne przybliżone pojęcie.

Nie przez wykłady i nauki moralne, nie przez działanie woli wychowawcy, ale przez wpływ atmosfery domowej, przez moralny nastrój przenikający rodzinę pierwszy siew uczuć narodowych w duszę dziecka przenika.

Można dziecku wprost o przyszłych jego obowiązkach względem kraju nie mówić, można żadnych do niego skierowanych nie wygłaszać teoryi — niech jednak żyje w otoczeniu w którem miłość ojczyzny gra rolę głównego życiowego motoru, niech ojciec, matka, starsze rodzeństwo, a nawet najściślejsze towarzyskie kółko wyznaje najczystsze patryotyczne zasady — to już z wielkiem prawdopodobieństwem przypuszczać można, że i ono ogólnem nastrojem się przejmie.

Jeżeli jednak dzieje się przeciwnie, jeżeli w otoczeniu dziecka panuje narodowy indyferentyzm, utylitaryzm filisterski, zamiłowanie cudzoziemczyzny lub pod firmą kosmopolityzmu kryjący się egoizm, wtedy wszelkie żądania i życzenia wychowawców na nic się nie zdadzą, — dziecko nie da narzucić sobie poglądów, którym nie hołdują starsi i nieszczerość ich doskonale odczuje. Wogóle zbyt często łudzimy się myśląc, że dziecko to tylko wie i słyszy, co do niego lub dla niego jest mówionem. — Nie mamy może surowszych sędziów i przenikliwszych szpiegów naszej hypokryzyi niż dzieci. — Ta świeża i subtelna wrażliwość, która pozwala im odczuwać i chwytać każdy odcień głosu, każdą zmianę wyrazu twarzy, odsłania im również tendencyjność naszych słów i sprawia, że gdy się specyalnie do dzieci z rozmową zwracamy, zgóry podejrzywają nas one o pewne dowolne i celowe nakręcanie prawdy. Dla tego też bezporównania większą uwagę przywiązuje

do tego, co mówimy między sobą, niż do tego z czem się do nich zwracamy — dla tego też wreszcie chcąc pozyskać zaufanie dzieci i wpływ na nie wywierać, musimy postępować otwarcie, szczerze, uczciwie, konsekwentnie i nie dać im nigdy powodu do przypuszczeń, że oszukiwać je chcemy.

Z tego co wyżej powiedziano wynika, że chcąc w dzieciach uczucia patryotyczne wzbudzić musimy być niemi sami głęboko przejęci.

Nie odnosi się to wyłącznie do rodziców, ale także do ich zastępców i wyręczycieli.

Polacy powierzający swe dzieci — francuzkim lub niemieckim bonon — mają bardzo małe szanse wychowania dobrych synów ojczyzny.

Jestto wogóle dowodem wysokiej niekonsekwencyi, braku logiki — i lekkomyślności wreszcie, że my — którzy się tak często, tak głośno i tak słusznie skarżymy na szkoły, w których dzieciom naszym obcy język i niezrozumiały narzucają wykład — we wychowaniu domowem trzymamy się tej samej zgubnej metody, którą w wychowaniu publicznem potępiamy. — Przeszło 70 lat ludzie rozumni i patryoci walczą z tą manią cudzoziemczyzny w wychowaniu, a mimo, że zupełnie niezbite przytaczają argumenta — większość zawsze nierozumn j hołduje modzie — jakby na poparcie słów Szopenhauera „mędrcy wszystkich wieków zawsze powtarzają jedno i to samo, a tłum czyli głupcy, zawsze jedno i to samo robią, to jest rzeczy wprost przeciwne tym, które mędrcy zalecają“.

Jeżeli krzywdą jest dla nas wykład niemiecki w szkole. — toć przynajmniej w okresie wychowawczym poprzedzającym wstąpienie do szkoły powinniśmy jak najpilniej rozwijać w dzieciach uczucia narodowe, kształcić je w języku ojczystym i unikać wszystkiego, co cudzoziemczyzną trąci. — Jeźli zaś wynaradawiamy je sami i cieszymy się, że pięcioletnie malcy po francuzku „dzień dobry“ nam mówią — to nie mamy prawa skarżyć się na rząd niemiecki, że dzieci naszych po polsku uczyć nie każe. Pominąwszy już całkiem niepedagogiczne rozpoczynanie wykształcenia od nauki obcych języków. pominąwszy już zaniedbanie mowy ojczystej — samo oddanie dzieci pod wpływ cudzoziemski uniemożliwia rozbudzanie w nich narodowych instynktów. Niemka ani Francuzka nie wzbudzi w dzieciach czci dla naszych narodowych wspomnień i tradycyi, uwielbienia dla bohaterów, miłości dla ziemi ojczystej. — Niemka i Francuzka nawet opowiadając dzieciom bajeczki czerpać je będzie ze skarbnicy własnych narodowych podani legend, — a dziecko. którego wyobraźnię na niemieckich „märchen“ lub francuzkich „contes de fées“ wykarmiono nigdy nie nabędzie szczerego, głębokiego przywiązania do rodzinnych zwyczajów i tradycyi. — Sądzimy, że wychowanie późniejsze zdoła braki naprawić, — sądzimy, że pierwsza epoka dzieciństwa jest mniej ważną pod tym względem, — jestto jednak ważna omyłka. Nie zdajemy sobie sprawy jak ważną rolę w naszych uczuciach narodowych grają wspomnienia z pierwszego dzieciństwa, prawda ta jednak staje nam się widoczną wtedy, gdy na obczyźnie tęsknimy za ziemią rodzinną, gdy fakt jakiś drobny, dźwięk pieśni narodowej, nazwa miejscowości lub tytuł przeczytanej niegdyś książki, wzbudzą w duszy cały szereg zapomnianych już wspomnień i wrażeń.

Sądzę, iż miłość ojczyzny można budzić już w bardzo młodym wieku, mniej więcej w tym samym czasie, gdy dzieci zaczynają rozumieć bajeczki i opowiadania starszych i gdy obrazkami na seryo interesować się zaczynają. Zajmujące, barwne, przystępne opowiadania dziejów, naturalnie w sposób anegdotyczny traktowane zainteresują i bardzo maleńkich słuchaczy, utkwią im w pamięci, a nawet rodzaj dziecinnego entuzyazmu obudzą.

Śpiewanie piosenek narodowych z krótkiemi i łatwemi objaśnieniami wyrazów mniej zrozumiałych sprawia malcom również wielką przyjemność i bardzo na wyobraźnią i uczucie oddziaływa.

W pewnem znajomem mi kółku zrodziła się myśl upamiętnienia dzieciom kościuszkowskiej rocznicy przez pokazywanie im przy stosownych objaśnieniach szeregu obrazów znikających z powstania 94 roku.

Myśl tę urzeczywistniono; trzeba było widzieć entuzyazm młodziutkiego andytoryum rysujący się na małych twarzyczkach, błyszczący w modrych i czarnych oczętach po każdem takiem przedstawieniu.

Raz na zakończenie widowiska rzucono im zapytanie, który z obrazków pragną widzieć powtórnie?

Dzieci prosiły o portrety Kościuszki i Kilińskiego, a gdy im je pokazano, gromadka malców rzuciła się całować ulubionych bohaterów.

Ten naiwny objaw uwielbienia daje miarę, jak silnych wrażeń doznały maleńkie serduszka i jak do nich żywo przemówiły wspomnienia ojczyste.

Powodzenie kościuszkowskich obrazów zrodziło myśl utworzenia stałej panoramy historycznej dla dzieci. Czy myśl tę bardzo szczęśliwą i zbawienną już urzeczywistniono, — o tem nie mam dokładnych wiadomości.

Ze względu na to, że kierunek wychowania publicznego u nas i pod rosyjskim zaborem w obcych i wrogich nam pozostaje rękach — tym większy nacisk winniśmy kłaść na charakter patryotyczny w wychowywaniu domowem i prywatnem.

Dla tego też okres wychowawczy poprzedzający wstąpienie do szkół właśnie w tym celu jak najstroskliwiej wyzyskanym być powinien.

W okresie tym zdziałać da się bardzo wiele, nie da się jednak dokonać wszystkiego. Można naprzykład zbudzić miłość ojczyzny, przywiązanie do kraju. słowem, wycisnąć na młodej duszyce niezatarte narodowe piętno, można wreszcie dać pojęcie o dziejach ojczystych i o rodzinnej ziemi, nauczyć mniej więcej czytać i pisać po polsku, lecz **dokładnego wyobrażenia**, ani o naturze kraju, ani o jego historyi, jak również **dokładnej znajomości** języka przyswoić nie można.

Jeżeli tej reszty wychowania narodowego nie dają szkoły, trzeba przynajmniej w wychowańcach wzbudzić popęd do kształcenia się w tej gałęzi i do tej pracy zachęty i pomocy udzielać.

Nie tylko dobrą lecz i konieczną jest rzeczą, aby polskie dzieci po polsku mówić i pisać umiały, chodzi jednak nie o to jedynie, aby od biedy znały polski język i mogły się nim posługiwać, lecz aby go znały dobrze, dokładnie, aby się z nim zżyły i zrosły, aby on był dla ich myśli najwygodniejszą szatą. — Przy ciągłem przymusowem posługiwaniu się językiem obcym — rezultat ten osiągnąć trudno.

Mimo woli przychodzą na myśl częściej cudzoziemskie, niż swojskie wyrażenia i zwroty, na czem mowa ojczysta traci, przekształca się, wykrzywia, paczy, przestaje być językiem pięknym, bogatym i jasnym.

Można kochać narodowy język, ale nie można kochać gwary mięszanej, niezrozumiałej plątaniny polskich i cudzoziemskich wyrazów i określeń.

Dla tego też rodzice baczyć winni na to, aby ich dzieci jaknajczystszą, najpiękniejszą mówiły polszczyzną.

Nie powinni tolerować, ani germanizmów, ani prowincyonalizmów, ani makaronizowania. Ale otóż i w tym kierunku objawia się nasza lekkomyślność i niekonsekwencya. Biadamy nad skażeniem języka ojczystego, o ile na nie wykład niemiecki wpływa, ale bardzo chętnie przeplatamy rozmowę francuzczyzną lub angielszczyzną, wtrącamy do niej paryzkie „bon mots“ i nad sekwańskie zwroty i uważamy to za pewien rodzaj szyku i salonowej wytworności. — Kształcenie się w językach obcych jest dla nas konieczne, ale mięszanie cudzoziemczyzny do rozmowy sprawia, iż ani obcym, ani swoim językiem w końcu mówić nie umiemy.

Nie spostrzegamy wcale, że tym sposobem ubożymy po prostu swój słownik, nabieramy złych nałogów i przywykamy pewne pojęcia tylko po polsku, inne tylko po cudzoziemsku określać, wreszcie żadnym językiem **czystym** nie umiemy wyrazić swojej **całej** myśli. — Że przytem zatraca się i duch mowy polskiej i właściwy jej charakter, że dużo doskonałych form idzie w zapomnienie, tego i dowodzić nie potrzeba.

Sądzę, iż przy nauczaniu języka polskiego zbyt wielki dotychczas kładziemy nacisk na gramatykę — zbyt mały na czytanie. Gramatyka jest dla dzieci nauką nudną i suchą. Pomijać jej przy początkowej edukacyi nie można, lecz należy jej przedewszystkiem uczyć przez praktyczne ćwiczenia, unikać zaś skomplikowanych reguł i niezrozumiałych definicyi.

W dalszem wykształceniu braki te skompletować się dadzą, a na tem opóźnieniu znajomość prawideł mowy nic nie straci, gdyż dziecko i tak zapomina zwykle tego, czego nie rozumie, czego się wyuczyło mechanicznie.

Natomiast zaś należy wielką przykładać wagę do tego, aby dziecko na jaknajlepszych wzorach mowę swą kształciło i w tym celu strzedz go od czytania książek lichą lub błędną pisanych polszczyzną. — Przez czytanie nabywa się najwięcej językowych przyzwyczajeń; nawet ortografia wpaja się w umysł głównie przez oczy i czasem mając pewne wątpliwości dosyć jest napisać jakiś wyraz i przypatrzeć się jak wygląda, aby się zorientować, czy go się źle, czy dobrze napisało. Co jest prawdą o ortografii w wyższym jeszcze stopniu odnosić można do stylu.

Po przeczytaniu dobrze napisanej książki — mówi się płynniej, poprawniej a nawet piękniej. Mimowoli i mimo wiedzy człowieka pamięć jego chwyta zręczne zwroty i piękne określenia i w mowie mechanicznie je odtwarza.

Nie dosyć zresztą dawać dzieciom czysto i poprawnie pisane książki — należy im podsuwać jak najwięcej pisanych artystycznie i pięknie. — Język poetów i utalentowanych pisarzy różni się tem od mowy potocznej, że jest wiele bogatszy, barwniejszy i dosadniejszy. Samo przestrzeganie poprawności, a czasem płynący ztąd językowy purytanizm, uboży mowę i sprawia czasem, że na określenie dwóch różnych pojęć braknie nam dwóch różnych wyrażeń. — Luki, które przez usuwanie błędnych lub zapożyczonych zwrotów powstają, wypełnić można przez wczytywanie się w dzieła tych autorów, którzy pod wpływem twórczego natchnienia bogacili język wyrazami i zwrotami będącemi z jego duchem w zgodzie.

Dopiero czytając arcydzieła naszego piśmiennictwa uczymy się oceniać piękności polskiego języka i kochać mowę, z której wielcy poeci nasi uczynić zdołali „pacierz, co płacze i piorun, co błyska“. Piśmiennictwo danego kraju jest skarbnicą ducha narodowego, ową „arką przymierza“, o której wieszcz mówił, że naród w niej składa „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“. — Znajomość literatury polskiej wytwarza węzeł sympatyczny między sercem każdego Polaka i Polki, a sercem narodu. Że znajomość ta w obecnych czasach jest bardzo niedostateczną, tego dowodzić nie potrzeba. Młodzież męzka zdobywa ją o własnych siłach, o ile ma czas. możność — a wreszcie i chęć do tego — młodzież żeńska otrzymuje ją przeważnie w stopniu niedostatecznym i w sposób wiele pozostawiający do życzenia. — Lekcye literatury są to przeważnie lekcye historyi literatury, przy których utwory pisarzy i poetów podawane są jedynie w streszczeniu i wyjątkach specyalnie na ten cel wybranych, a poglądy narzucane bywają w całkiem gotowych sentencyach, nie podlegających krytyce.

Nie przeczę, że historya literatury krajowej stanowi ważną część wykształcenia, lecz byłoby wiele słuszniej wykładać ją łącznie lub co najmniej równolegle z historyą kraju, znajomość zaś piśmiennictwa krajowego winnaby ją poprzedzać — tak jak znajomość języka — gramatykę.

Wyjątki z dzieł pięknych i gotowe streszczenia ani o ich wartości, ani o piękności pojęcia nie dają.

Przedmiot ten wymagałby szerszego rozbioru, tu wypowiadam tylko krótko przekona-

nie, że sposób w jaki uczniom i uczennicom utwory literackie tłomaczą, raczej zabić może wszelki dla nich interes, niż go rozbudzić.

(Dokończenie nastąpi.)

NA WYŁOMIE.

(Wybryk dziennikarski. — Dramat w inseracie.)

Dziwne chwasty bujają na niwie dziennikarskiej. Zatrute ziarna przybywają do nas razem z cywilizacyą — ze Zachodu. Tam je chodują systematycznie, tam podziwiać je można w całej okazałości. Wstępujesz na arenę życia publicznego. Z góry jesteś przygotowany na napaści obozu przeciwnego, na bezczelne insynuacye, na potworne kalumnie. Z pogardą spoglądasz na gady z sykiem wijące się pod twemi stopami. Ale nie tryumfuj zawcześnie. Przeszedłeś przez życie uczciwą drogą, kalumnia mimo to ciebie dosięgnie, jeżeli chodzi o odsunięcie ciebie od czynności publicznych zniesławieniem twego imienia. Pierwszy lepszy opryszek zbiegły z galer, każdą chwilę twego życia prywatnego analizować będzie z dokładnością chemika. Nie znajdzie może nic, ale uprawiający rzemiosło zohydzania ludzi niewygodnych, nie długo mózg będzie suszył nad wynalezieniem jadu, którym w twarz ci bryźnie. Mów o szczęściu, jeżeli kładąc ci nóż na gardle, krzyknie ci nad uchem: garść złota, albo kalumnia! Choćbyś był czystym jak łza, okup się! Nie łudź się w naiwności swej, że uczciwości swojej dowiedziesz. Wolno ci powołać się na prawo prasowe, wolno ci żądać odwołania kłamstwa. Dziennik każdy przyjmie twoje sprostowanie, ale wytrawny w swem rzemiośle redaktor do sprostowania twego przyszpili drobny dopisek, kilka słów tylko, pozornie mało mówiących, nie więcej — a w niwecz obróci się obrona twoja. Kłamstwo na ciebie ukute kursować będzie jak dobrze podrobiony banknot, nie domyślasz się nawet, ilu go przyjmie za monetę pełnowartościową!

Słyszę głośne protesty: *ale nie u nas!* Zapewne u nas *jeszcze* tak się nie dzieje. Kwiaty wyziewami mefitycznemi zatruwające powietrze u nas pojawiają się sporadycznie, nie znajdują jeszcze gruntu dostatecznie przygotowanego. Nie, żeby społeczeństwo nasze było moralniejsze, albo prasa nasza uczciwszą — ale po prostu dla tego, że w wielkim pochodzie cywilizacyi my postępujemy bodaj w jednym z ostatnich szeregów.

W ostatnich jednak czasach mnożą się objawy zastraszającej natury. Prasa nasza wobec tych, co komisyi kolonizacyjnej zaprzedali ziemię rodzinną, nie ograniczyła się na piętnowaniu ich postępku. Jak zwierzynę spłoszoną tropiono ich w zaroślach, nie oszczędzono im ani kropli pogardy — ale też nie pogardzono żadnym środkiem, któryby ich wydał na pastwę tłumu spragnionego skandalu. Niewybredność w środkach przeszła wszelkie oczekiwania, wtargnięto do spraw prywatnych i familijnych, do sfery, która poszanowanie znaleźć powinna u najzawziętszego nawet wroga.

Ze namiętność, z jaką uprawiano nicowanie życia rodzinnego tych podwójnie nieszczęśliwych, w skutkach pokazuje się niebezpieczną; że stracono poczucie granicy, której przejść nie wolno — nie potrzeba chyba dowodzić.

Nie mamy wprawdzie dzienników, któreby świadomie uprawiały robotę tak degradującą moralnośc publiczną — ale zdarza się redaktorowi przez niedopatrzenie — (nie zawsze usprawiedliwione pracą wytężoną i koniecznym pospiechem dziennikarskim) — umieścić korespondencyą, którą był powinien pogrzebać w czeluściach kosza redakcyjnego. Trudno sprawdzać wiadomości zawarte w korespondencyach, trudno nawet posądzać czasem korespondenta o złą wolę. Obowiązkiem jednak każdego redaktora pozostanie, nie przepuszczać nic, coby się wdzierało do życia prywatnego jakiejkolwiek osoby — tem więcej zaś osoby nie występującej w charakterze publicznym.

O ile to jest koniecznem, dowodzi korespondencya z Krotoszyna zamieszczona w jednem z pism poznańskich, omawiająca sprzedaż Konarzewa (nie dokonaną jeszcze). Zola nie zbierał z taką dokładnością dokumentów ludzkich, z jaką pismak ów, podpisujący się literą X, pod osłoną tajemnicy redakcyjnej opowiada najdrobniejsze szczegóły z życia prywatnego rodziny, sprzedającej Konarzew. Przeszedł on wszelkie granice, jakie się w takich razach zachowuje. W naiwności swej nie namyślił się może ani nad tem, jak nędzną rolę sam odgrywa. Nie spostrzega w swem zacietrzewieniu, że osoby, które stawia publicznie pod pręgierzem, nazywa po imieniu, sam zaś swoje nazwisko uważał za stosowne zamilczeć. Cóż sądzić o takim bohaterze anonimowym? Kto nie ma odwagi wyjawić swego nazwiska, temu wara od rzucania błotem na nazwisko cudze. Nie wierzę tu w poczucie obowiązku, udrapowane fałdami patryotyzmu, widzę tu pospolitą, nizką naturę, cieszącą się ze sposobności znęcania się nad bliźnim — bezkarnie.

Nie będę się tu zastanawiał nad dziwną moralnością, która się wyłania z różnicy, jakąby pan ten chciał zaprowadzić między wierzycielami z powodu ich wyznania. Nie będę się oburzał, że pan ten zupełnie niepowołany, bezprawnie napomina publicznie w dzienniku do zaspokojenia wierzycieli, do których chyba sam nie należy. Nie dziwię się bynajmniej, że w korespondencyi jego nie znajduję tej zwykłej delikatności kupieckiej, zabraniającej dopominać się o należytość na karcie otwartej lub w przytomności osoby trzeciej. Tego taktu, przepisanego nawet prawem pruskiem, żądać od niego nie mogę chociażby dla tego, że szlachetny ten rycerz, pieczętujący się literą X. jak bandyta ukryty w zaroślach śmiał rzucić z ukrycia bezpiecznego błotem na kobietę bezbronną. Znęcać się nad wdową publicznie, chociażby w obronie najświętszej sprawy, tego, panie Anonimie, uczciwy człowiek nie zrobi nigdy!

Korespondencye tego rodzaju, od pewnego czasu pojawiają się coraz częściej. Publiczność czytająca mogłaby łatwo przywyknąć do strawy zatrutej, wdzieranie się do tajemnic rodzinnych łatwo mogłoby się wyrodzić w rzemiosło — dla tego uważałem za swój obowiązek, zwrócić uwagę wszystkich na nadużycia, jakie się dzieją w prasie naszej, napiętnować poziome instynkta mściwych korespondentów, wskazać na niebezpieczeństwo grożące, jeżeli społeczeństwo rychło nie położy tamy zezwierzęconym paszkwilistom.

* * *

Pisma codzienne z dwóch najczęściej bywają powodów — albo dla artykułu wstępnego — albo dla wiadomości potocznych. Rzadko kto pomyśli o tem, że i z części inseratowej ciekawych doczytać się można rzeczy. Spotkać tam można komedyą lub dramat, ściśnione w ramach niewielu wierszy, a ujawniające dokładniej całą głupotę, lub całą nędzę ludzką od wielotomowych powieści.

W ostatnich dniach wyczytałem w jednem z pism poznańskich na czwartej stronnicy następujący inserat:

Dziecko

9 miesięcy stare(!) dziewcze,
jest do oddania na własność.
Bliższej informacyi udzieli
Administracya.

Inserat ten krew mi zamroził w żyłach. Widzę matkę zwyrodniałą pozbywającą się dziecka swego, gwałcącą w łonie swem instynkta, które przecież odczuwają dzikie nawet zwierzęta. A może to nędza najokropniejsza popycha matkę do zbrodni. Może nie chce patrzeć na powolną ale niechybną śmierć głodową istoty, której dała życie. Może się pozbywa owocu hańby, opuszczona przez uwodziciela, zmuszona szukać kawałka chleba, a doświadczeniem nauczona, że niełatwo znaleść pracę obarczonej żywym dowodem swego upadku.

Ile łez wylanych, ile strasznej nędzy w tych kilku wierszach inseratu!

Tristan.



KRONIKA KRAKOWSA.

(Korespondent w Rabce. Co to jest Rabka? Co słychać w Krakowie. Cholera. Popisy oratowskie pana Friedleina. Teatr. Książka Stanisława Koźmiana. Sp. Ludwik Wodzicki. Pogłoski o p. Marchwickim.)

Kraków obecnie jest tak ożywiony, tak pełen ruchu, że . . . korespondent wasz z czystem sumieniem mógł udać się do Rabki, pewny, że nic na tem nie ucierpi kronika krakowska „Przeglądu“. O tem co słychać w Krakowie dowiaduje się nietylko z dzienników, ale i od przyjezdnych Krakowian, których w Rabce przez całe lato jest ilość nader pokaźna, dzięki temu, iż Rabka od Krakowa jest oddalona tylko o 4 godziny jazdy koleją, a ruch pociągów jest tak urządzony, że wyjechawszy rano z Krakowa, można przepędzić kilka lub kilkanaście godzin w Rabce i w pierwszym razie tegoż dnia wieczorem, a w drugim nazajutrz wczesnym rankiem powrócić do miasta, którego losy spoczywają w rękach znanego wam z moich korespondencyi p. Friedleina.

Lecz co to jest Rabka? Naprzód pierwszorzędna miejscowość lecznicza, (źródła solanki jodo-bromowej) powtóre okaz znakomity naszej gospodarki.

Gdyby Rabka leżała choćby o 20 mil na zachód, to sława jej rozbrzmiewałaby po wszem świecie. Takich źródeł, jakie mają Szczawnica, Krynica, Iwonicz i t. d. jest wszędzie dość sporo — lepsze od rabczańskich znajdziesz tylko jedno w Europie i to aż w Hispanii. Woda rabczańska na 1000 części zawiera 25 procent tych składników chemicznych, jakich Iwonicz posiada zaledwie 9—11 procent. Na reumatyzmy, artrytyzmy, choroby kiłowe i kobiece, przedewszystkiem na skrofuły we wszelkich formach, a szczególniej u dzieci, jest ona nieocenioną. Znakomity specyalista chorób dziecinnych, prof. uniwersytetu jagiellońskiego i dyrektor szpitala dla dzieci w Krakowie dr. Maciej Jakubowski, nazwał Rabkę „perłą wód galicyjskich“, urządził w niej wespół ze zmarłą niedawno ks. Marceliną Czartoryską szpitalik dla dzieci i popiera najgoręcej wysyłanie ich tutaj na kolonje wakacyjne. Ztąd też Rabka roi się od dzieci i młodzieży, z których znaczna ilość zawdzięcza jej powrót do zdrowia, a nawet życie. Oprócz leczących się znaczna ilość osób przebywa w Rabce przez lato wyłącznie dla świeżego powietrza. Rabka bowiem leży już w Beskidach, o 1,500 stóp nad powierzchnią morza, w dolinie zasłoniętej z trzech stron górami, a otwartej na zachód z malowniczym widokiem na Babią górę. Lasy świerkowe, oddalenie zakładu od zabudowań wiejskich, daje jej czyste górskie powietrze, zbliżone do tego, jakiem oddychają przebywający w Szczawnicy i Zakopanem. Nad temi dwoma miejscowościami posiada Rabka pewną wyższość, nie ulega bowiem tak częstym zmianom atmosferycznym; nie oziębia się w niej tak nagle powietrze po zachodzie słońca. Łatwość komunikacyi z Krakowem i pewne wygody, jakie daje każde miejsce kąpielowe, wpływają też niepomiernie na to, iż ludzie pragnący odetchnąć po całorocznej pracy chętnie przybywają na lato do Rabki, a to tem więcej, iż daje im ona zupełną prawie swobodę, pozwala bawić się lub żyć całkiem na uboczu, bez tego krępowania się, które niejednego odstrasza od innych na-

szych miejscowości leczniczych i klimatycznych. Wśród rozległego parku wznoszą się domki mniejsze i większe, nie ścieśnione, nie tworzące ulicy, nie ma „deptaka“ wymagającego od kobiet wykwintnych strojów — „letniey“ przechadzają się po lasach przytykających do ich mieszkań, lub spoczywają po rozrzuconych po parku ławeczkach. Podczas muzyki nie potrzebują nawet wychodzić z mieszkań swoich, dość im otworzyć okna, bo ze wzniesionej dla niej w pośrodku parku altany, rozchodzą się dźwięki zarówno na wszystkie strony. Ta swoboda, ten brak rynku v. deptaka, dla osób pragnących prawdziwie wypoczynku jest nieocenionym. Wpływa na tę swobodę znacznie i urządzenie mieszkań, z których każde ma swoją kuchnią, a tem samem różni się od hotelowego systemu, przyjętego w innych zdrojowiskach. Restauratorom pewne to w niesmak, ale gościom jest z tem tanio i wygodnie zarazem.

Zaznaczyłem, że Rabka jest nietylko znakomitem miejscem leczniczem, ale i okazem naszej gospodarki. Natura jej dała wszystko: i piękne położenie i czyste powietrze i wspaniałe źródła. Dodajmy do tego łatwość komunikacyi, a pojmiemy co z Rabki zrobionoby w Niemczech lub we Francyi, gdyby ją posiadano. Ale nietylko Niemiec i Francuz potrafiłby ją wyzyskać, toć widzimy, co w Królestwie Polskiem zrobiono już z Ciechocinka, choć się on nawet „nie umył“ do Rabki, bo nie ma ani w części takiej wartości leczniczej, a o powietrzu jego i piękności położenia chyba nawet mówić nie można, bo zakrawałoby to na ironją. Tymczasem Rabka nie jest nawet wstanie pomieścić jednocześnie tysiąca osób. Były właściciel ś. p. Juljan Zubrzycki nietylko postawił małą ilość budynków, ale nie starał się nawet o urządzenie łazienek i zdrojów według wymagań jakiegobądź komfortu. Nie sprowadził maszyny parowej do wydobywania wody, przeznaczonej do kąpieli, lecz zadawalał się konnym kieratem. Wanny w łazienkach przekonywały kąpiących się, że w tej stronie Europy nie słyszano jeszcze o miedzi i porcelanie, a wiedziano tylko o zwykłej blasze cynkowej. Co raz postawiono przed 40 laty, tego już nierestaurowano. Dziewiczość ta miała nieco powabów, ale na dni parę, lecz nie na pobyt kilkatygodniowy. Właściciel przytem gardził reklamą, a przecież dziś bez reklamy najszlachetniejsze i najpożyteczniejsze rzeczy się nie udają. Kiedy przed kilku laty pytałem się go, dlaczego nie czyni wkładów, odpowiadał z naiwnością, że boi się aby mu woda kiedy nie zniknęła. Nowych źródeł nie szukał, starych mu się pogłębić i dobrze ocembrować nie chciało. Myślicie może, że był to człowiek ubogi, lub średnio-zamożny, którego wkład jakich stu lub 200 tysięcy złr. mógł zrujnować. Na to odpowiedź krótka: kiedy umarł Zubrzycki przed 3-ma laty zostawił 4 miljony majątku. Nie miał dzieci, nie zapisał ani części majątku na cele publiczne, a więc skąpstwo jego nie miało żadnego wytłomaczenia. Takim ludziom jak on zawdzięcza w części Galicya mały postęp na polu ekonomicznem. Do fabryk, do wszelkich przedsiębiorstw, do wszelkiego wielkiego przemysłu, biorą się ludzie bez kapitałów i dlatego bankrutują. A kapitałów nie brak, tylko leżą nieproduktywnie. Są u nas milionerzy, ale ci albo tracą swoje miliony zagranicą lub na pańskie wybryki, albo też zbierają je i chowają w bankach angielskich, lub trzymają u siebie w papierach procentowych. Kto nawet skarb odnajdzie, ten go nie zużytkuje, lecz w części zakopie. Skarbem takim Rabka była i jest niezaprzeczenie.

Obecnie właścicielem Rabki jest Sobiesław hr. Mieroszowski, który nabył ją dopiero w roku zeszłym od spadkobierców Zubrzyckiego. Czas to za krótki, aby można było podnieść Rabkę na odpowiednie stanowisko. Ale co można zrobić na razie, to zrobione. Postęp znaczny już widać, a do osięgnięcia tego postępu pomaga dzielnie właścicielowi p. Józef Zaremba, dyrektor zakładu, były uczeń szkół wojskowych, powstaniec z r. 1863, a następnie gospodarz.

Korespondencya z Krakowa, jak widzę zamieniła się w korespondencyą z Rabki, trzeba więc cofnąć się na czas i napisać coś o Krawie. Dopytywałem się onegdajszych niedzielnych gości krakowskich co słychać w naszem miasteczku? czy żyją jeszcze liberały i stańczyki? czy smok Czasu wyszczerza kły, jak dawniej ku barankowi Reformie? czy Reforma zbeszała już świeżo wyszłą „Rzecz o roku 1863“ napisaną przez Stanisława Koźmiana? czy „Głos Narodu“ wypędził już żydów przynajmniej z rynku krakowskiego? czy nie urodził się jaki wielki mąż? ile razy podczas mej nieobecności hr. Stanisław Tarnowski wspomniał w mowie lub piśmie o Szujskim? ile skarg się posypało na budownictwo miejskie itd. itd.

Odpowiedzi na te zapytania były wymijające, dowiedziałem się jednak nieco o tem, o co nie pytałem.

Oto naprzód udzielono mi przyjemnej wiadomości, iż cholera wybrała się do Krakowa na pobyt dłuższy. Wypadków jest niewiele, bo naliczono dopiero 33 przez półtora miesiąca.

Nie ma więc czego się przerażać, — każda epidemia tyfusu, ospy lub szkarlatyny zabiera ofiar dziesięć razy więcej, a nieepidemiczne zapalenie płuc gorsze jest znowu od chorób wymienionych. Ale bądź co bądź jest faktem, że już trzeci rok z rzędu cholera zagląda do Krakowa, jakby na stałe pragnęła w nim zamieszkać. Charakterystycznem jest, że wypadki zdarzają się w tej samej dzielnicy, a nawet w tych samych domach co poprzednio. Widocznie assanacya nie została przeprowadzoną dokładnie lub też właściciele tych domów niechlujne i nieczyste ich utrzymanie doprowadzają do maximum. Procent śmiertelności na małą liczbę chorych jest bardzo wielki, co zresztą jest zgodne z dawnemi obserwacyami, które wykazywały zawsze znaczniejszy procent śmiertelności tam, gdzie mniej było zasłabnięć.

Opowiadali mi dalej moji „współmiastowcy“, że przez Kraków wciąż przejeżdżają większe partyje wycieczkowe, dążące na wystawę lwowską, lub też z niej powracające. W skutek tego p. prezydent Friedlein coraz więcej ćwiczy się w wymowie, co obudza nadzieję, iż z czasem dojdzie w tej sztuce do doskonałości. Szkoda, że Wystawy lwowskiej nie urządzono przed rokiem, bo w takim razie p. Friedlein, zaznajomiwszy się ze swadą, nie byłby milczał podczas uroczystości Kościuszkowskich, z czego mu tak słusznie jako głowie miasta zarzut robiono.

Z dalszych wiadomości Krakowskich zaznaczam restauracyą pięknych stalli presbiteryum Kościoła maryjackiego kosztem ks. Radziwiłła z Balic. 15cie zdobiących je obrazów odnawia znany artysta malarz p. Bronisław Abramowicz, który dokonał już wielu podobnych odnowień w Muzeum XX. Czartoryskich.

Teatr nasz zakończył swój sezon operowy w połowie Sierpnia. Stara i prześpiewana jego primadonna p. Cordier wyjechała z dwoma kolegami do Wieliczki, Tarnowa, Sącza i do innych tym podobnych miejscowości, gdzie uczyni pewnie większe, niż w Krakowie wrażenie. Dzięki jej i barytonowi Paszkowskiemu nasza opera była trójjęzyczną, bo panna czy pani Cordier śpiewała po francuzka, p. Paszkowski po włosku, a reszta po polsku, a tylko w części z żydowska. Od 1 września rozpoczyna się nowy sezon dramatu i komedyi. Mówią o zaangażowaniu pp. Żelazowskich i p. Siemaszki ze Lwowa; p. Kotarbiński pozostaje reżyserem, lubo z nieco zmniejszonym zakresem działania. Życzyć sobie należy, aby harmonija, która dość panowała podczas opery, utrzymała się w teatrze i nie doprowadzała podczas wystawiania komedyi do scen komicznych, a podczas wystawiania dramatu do scen dramatycznych, jak to się działo w ubiegłym sezonie. Tymczasem korzystając z zawieszenia przedstawień czynione są w teatrze pewne przeróbki i uzupełnienia. Scena ma być nieco ścieśnioną, czy też w głąb posuniętą, przez co ma zyskać akustyka. Do wielkiego świecznika ma być dodanych nowych lamp 40, gdyż Henryk Siemiradzki zauważył, iż kurtynie jego pędzla brak jest dostatecznego oświetlenia.

Wspomniałem powyżej o świeżo wyższej pracy o r. 1863 pióra Stanisława Koźmiana b. redaktora „Czasu“ i b. dyrektora teatru. Wyszła dopiero część pierwsza tomu pierwszego, należy przeto z wydaniem sądu wstrzymać się do ukazania się całości. To pewna, że dzieło p. Koźmiana rozbudzi na nowo zeszłą już z porządku dziennego polemikę o powstanie, autor bowiem jako jeden z dowódzców partyi stańczykowskiej, będzie naturalnie z punktu widzenia swego stronnictwa oceniał wypadki z przed lat 30. Ostatnia nawet część dzieła, o ile słyszałem, poświęconą ma być historyi powstania Stańczyków. Że dzieło to będzie napisane z talentem, wątpić o tem nie można, ale co do mnie przyznam się, że wolałbym, ażeby rzeczy o r. 1863 nie pisał ani stańczyk, ani liberał, ale spokojny i trzeźwy historyk.

Jednocześnie z ukazaniem się początku dzieła p. Koźmiana zmarł jeden z założycieli „Przeglądu Polskiego“, który, jak wiadomo, powołał Stańczyków do życia. O hr. Ludwiku Wodzickim z wyjątkiem „Czasu“ i „Przeglądu lwowskiego“ pomieściły wszystkie pisma zaledwie krótkie wzmianki, a przecież był to człowiek, który odgrywał przez lat kilkanaście wybitną rolę w galicyjskiem społeczeństwie i piastował nawet największą godność, do jakiej polak na własnej ziemi między swymi dziś dojść może. A jednak nie można się dziwić powściągliwości dziennikarstwa. Od chwili, kiedy Ludwik hr. Wodzicki złożył godność marszałka sejmu, aby objąć urząd gubernatora Laenderbanku, przestał być osobistością publiczną. Przedtem można go było lubić lub nie, zgadzać się lub nie z jego przekonaniami, ale musiało się z nim liczyć. Bardzo zdolny, wykształcony, dobry mówca i stylista, był on jednym z reprezentantów swego stronnictwa. Kto zaś dobrze życzy krajowi, ten musi pragnąć, aby na czele wszelkich stronnictw stali ludzie zdolni i wybitni, bo tylko walka dzielnych umysłów prowadzi do prawdy, budzi z odrętwienia. Walka miernot między sobą obniża tylko życie publiczne, wywołuje niesmak i apatyę. Więc i przeciwnicy zmarłego powinni byli żałować, że zeszedł z areny publicznej. Ale też wtedy, a nie dziś należało mu pisać nekrologi. Wolno było zmarłemu porzucić dla synekury najwyższą godność obywatelską, wolno mu było dzięki temu z człowieka zamożnego zostać bardzo bogatym. Nasze dziennikarstwo konserwatywne usiłowało tę przemianę marszałka na gubernatora francuzko-żydowskiego banku przedstawić jako „poświęcenie“. Wmawiano w kraj, że Laenderbank otworzy nową erę dla Galicyi. Zgraja płatnych pismaków umieszczała w tym sensie artykuły w dziennikach, wydawała nawet osobne broszury. Wszystko to okazało się kłamstwem. Laenderbank był geszeftem jak inne banki, prowadził interesa tam, gdzie większych spodziewał się zysków. Śmiesznem nawet byłoby wymagać, aby został filantropem dla Galicyi. Wolno było, jak powiedziałem, ś. p. Wodzickiemu zostać jego gubernatorem, ale wolno też było krajowi zapomnieć o człowieku, który porzucił ojcyztą niwę, na której mógł wiele działać i zdziałać, dla interesu prywatnego. I w tem leży przyczyna owej powściągliwości dziennikarstwa wobec śmierci pierwszego niegdyś dygnitarza kraju.

Opowiadają obecnie w sferach niby to konserwatywnych, że na miejsce Wodzickiego ma zostać gubernatorem Laenderbanku p. Marchwicki, a przynajmniej, że pewne sfery starają się dla niego o tę synekurę, jako nagrodę za zasługi położone przy urządzeniu wystawy lwowskiej. Co p. Marchwicki przedtem robił, tego nie wiem, nie wiem też czy położył poprzednio jakieś zasługi, ale wie to każdy, że przy urządzeniu wystawy okazał wielki talent organizacyjny i duży zasób energii. Są to przymioty u nas rzadkie, a więc takiego człowieka należałoby zatrzymać w kraju i dać mu pole do dalszej i odpowiedniej działalności. Tak przynajmniej musi myśleć każdy człowiek rozsądny, a wobec tego potwornością mi się wydaje sama myśl pozbycia się go dla kapitalistów wiedeń-

skich i tak niesmacznego projektu wynagrodzenia tegorocznych jego zasług. Rusin takie pomysły nazywa *bezhołowiem*.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LITERACKA.

— **Jan Echegaray**. Galeotto, dramat w trzech aktach, przełożył Jan Kleczyński. Kraków 1894. Nakładem spółki wydawniczej, str. 64.

W dyalogowanym prologu autor uprzedza czytelnika, że da mu sztukę bez bohatera, bez miłości, bez akcyi, z codziennemi sytuacyami, kończącą się w tej chwili, kiedy ma się zawiązać dopiero węzeł dramatyczny.. Nie ze wszystkiem jednak dotrzymuje słowa. Chce on przekonać, że najdrobniejsze pozory są w stanie sprowadzić plotki i potwarze, z których wywiązać się może dramat, a nawet tragedya. Właściwie rzecz to jak świat stara i dowodzić jej nie trzeba. Znaleźlibyśmy całe legiony bohaterów i bohaterek różnych powieści i utworów dramatycznych, którzy wskutek pozorów i plotek albo tracą życie, albo mają je złamane. Tyle tylko nowego w Echegarayu, że u niego plotkarzem, ukrytym bohaterem, Galeotem jest całe społeczeństwo, które bezwiednie, bez złej woli nawet, staje się zbrodniarzem, niszczącym szczęście i spokój rodzin. Literata Ernesta i [illegible] żonę Girolama, bogatego przemysłowca, łączy [illegible] przyjaźni, najzupełniej usprawiedliwiony i przez Girolama sankcyonowany, gdyż Ernest jest synem człowieka, któremu zawdzięcza honor i wszystko, co posiada. Ale „całemu społeczeństwu", czyli opinii publicznej, przyjaźń ta wydaje się podejrzaną. Plotka za pomocą „najbliższych" dochodzi do trojga interesowanych, a zbieg okoliczności doprowadza do tego, iż raniony w pojedynku Girolamo umiera w przeświadczeniu, że był zdradzony. Jest i drugi pojedynek i drugi trup, baron de la Rocca, który będąc echem „owej" opinii i zabójcą w pojedynku Girolama sam pada z ręki Ernesta. Zręczne nagromadzenie pozorów i stopniowe ich potęgowanie, prowadzące z komedyi do dramatu, a z dramatu do tragedyi jest główną zaletą Galeotta. Oryginalnem jest rozwiązanie: Julia i Ernest potępieni przez wszystkich, zmuszeni do miłości, podają sobie dłonie na dalszą wspólną pielgrzymkę życia. Tłomaczenie nie jest zgodne z oryginałem, tłomacz bowiem poszedł za przeróbką niemiecką Lindaua, który zmienił prolog, skrócił niektóre monologi i tyrady. Oryginał jest pisany wierszem białym, tłomaczenie prozą. Tłomacz przeniósł nawet, niewiadomo dla czego, akcyę z Madrytu do Florencyi. Wątpić należy, czy Echegaray byłby zadowolony z takiego tłomaczenia. Może być, iż utwór zyskuje na scenie przez tę przeróbkę, ale od tłomaczenia książkowego musimy żądać wierności, której trudno w niniejszem tłomaczeniu się dopatrzeć.

K. B.

* * *

— **Goniec tatrzański,** I-szy, illustrowany w życiu, literaturze i sztukach pięknych. Wychodzi dwa razy miesięcznie w Zakopanem, pod kierunkiem literackim E w - a n a.

Mamy w ręku pierwszy numer tego obiecującego, a dla „Taterników" naszych upragnionego pisma. W dziale ilustracyjnym spotykamy widok „Morskiego Oka", oraz mapkę, uwidoczniającą sporny między Galicyą a Węgrami teren nad „Morskiem Okiem"; dodane do mapki objaśnienia pozwalają sobie wyrobić sąd o sprawie tak żywo wszystkich obchodzącej. — Dział lileracki bardzo jest obfity. Rubryki: „Kronika miejscowa", „Wieści od Gońców naszych z Gór", „Personalia", niezawodnie zamteresują zwiedzających nasze Tatry. W końcu znajduje się „Lista Gości przybyłych do Zakopanego" od wiosny.

Numer kosztuje 35 cent.

Z.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. W Norwegii umysły wszystkich w wysokim stopniu poruszone wyborami do s t o r t i n g' u. Wybory te mają mieć znaczenie tak wielkie, jakich od roku 1814, daty unii Szwecyi z Norwegią, nie miały. Norwegczycy, domagają się osobnych konsulatów norwegskich za granicą i wpływu na politykę zewnętrzną, od której dotychczas zupełnie ich odsunięto. W ostatnich 80 latach bowiem ani razu ministrem spraw zewnętrznych nie był Norwegczyk. Jeżeli żądania Norwegczyków nie zostaną uwzględnione, obawiać się można, że zerwaną zostanie unia ze Szwecyą. — Na zjeździe kupców i przemysłowców polskich we Lwowie, marszałkiem obrano posła pana Kubickiego ze Środy; godność wice-marszałka powierzono p. Dr. Karchowskiemu z Poznania. Przyszły zjazd odbędzie się w roku następnym, 1895, w Poznaniu.

Teatr i muzyka. P i o t r M a s c a g n i, jak donosi „Daily News", podpisał umowę z jednym z amerykańskich impresaryów. Według tej umowy, maestro udaje się w lutym r. p. do Ameryki i będzie w nowoyorskiej „Metropolitan Opera House" dyrygować przedstawieniem swego „Ratcliffa" i „Cavallerii". Dodać nie potrzeba, iż idzie tu o bardzo wysokie honoraryum.

We Francyi istnieją już dwie „Marsylianki", zasadniczo różniące się w poglądach na obowiązki jednostki względem państwa. Podczas, gdy dawna pieśń wzywa:

Allons enfants de la patrie,
Le jour de la gloire est arrivé...

druga dzisiejsza mówi zupełnie co innego:

Allons enfants des prolétaires,
On nous apelle aux régiments,
On veut nous faire militaires
Pour servir le gouvernement.
Nos pères furent très dociles
A des reglements incompris,
Nous, nous serons moins imbéciles,
Les insoumis!

Karol Gounod pozyskał w własnym synu biografa. Dzieło tegoż, zawierające życiorys znakomitego kompozytora, ukaże się wkrótce, przynosząc zarówno listy, jak pamiętnik mistrza.

W Madrycie zmarła w tych dniach poetka ludowa, zwana „Ślepą z Manassares". Kobieta ta obdarzona istotnym talentem poetyckim, była osobistością niezmiernie popularną w mieście. Lud tłumnie ją odwiedzał i przysłuchiwał się jej deklamacyi. — Zmarła zostawiła spadkobiercom spory majątek, gdyż, jak się okazało, zawód poetki ludowej był wcale korzystny.

Prof. Piotr Chmielowski oddał w tych dniach do druku drugi tom swego obszernego dzieła „N a s i p o w i e ś c i o p i s a r z e" obejmującego studya krytyczne nad powieściopisarzami polskimi. Treść tego tomu wypełniają portrety literackie Korzeniowskiego, Sztyrmera, Prusa, Klemensa Junoszy, Sewera i Mieczysława Czernedy. Książka powyższa wyjdzie nakładem firmy Gebethnera i Wolffa.

W październiku ukaże się także na półkach księgarskich trzecie wydanie głośnej książki tegoż autora „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu", uzupełnione i rozszerzone aż po r. 1894.

Panna Lena Milman z Londynu, świeżo ogłosiła tłomaczenie „Biednych ludzi" Dostojewskiego i kilka poetycznych noweli Turgeniewa. Obecnie od rosyjskiej przechodzi do polskiej beletrystyki i niedługo jeden z londyńskich miesięczników ogłosi jej tłomaczenie „Pójdźmy za Nim!" H. Sienkiewicza.

Powieść p. J. Dąbrowskiego „Śmierć" ukazała się w Petersburgu w osobnej książce, w przekładzie ruskim p. L. Horbaczewskiego; prasa miejscowa wyraża się z wielkiem uznaniem o tej pracy naszego powieściopisarza. „Petersb. Ztg." narzeka tylko na okładkę, na której okropny i sensacyjny rysunek, przypominający książeczki groszowe, obliczone na spekulacyę, wiele poważniejszych czytelników zniechęci do kupna „Śmierci".

Panny Sulicka i Olszewska zaliczone zostały do grona lekarzy w Paryżu.

Słownik jakucki. Dzienniki petersburskie donoszą. Niejaki p. Piekarski, Polak, bawiący od dłuższego czasu na Syberyi, przygotował słownik języka jakuckiego i ukończył go zupełnie. Słownik ten wkrótce ma być wydrukowany kosztem znanego bogacza syberyskiego, Sibiriakowa.

Kongres archeologów i antropologów w Serajewie, wybrał prezesem Virchowa. W dyskusyi nad znaczeniem wzkopalisk w okolicach Butmru koło Iligi, oznaczono wiek ich na 2,000 lat przed Chrystusem. Zapadła uchwała, ażeby dalej w okolicach tych czynić poszukiwania.

— Aby pozyskać dla literatury najlepsze studyum o utworach znakomitego poety G i a c o m o L e o p a r d i, królowa włoska ogłosiła konkurs, na którym najlepsza praca autora uwieńczoną zostanie nagrodą królewską. Nagrodę tę stanowi złote pióro, ozdobione sześćdziesięcioma rubinami.

Archeolog p. G. Osowski przeniósł się, jak donosi „Słowo", na stałe zamieszkanie do Syberyi, gdzie zamierza się poświęcić poszukiwaniom archeologii syberyjskiej.

Nowy kanał połączy niebawem morze Bałtyckie z morzem Północnem. Kanał zaczyna się od Brünsbüttel, przy ujściu Elby, i wije się w zagłębieniu lądowem, łączącem Jutlandję z lądem europejskim. Kanał przechodzi przez szereg jezior, które będą naturalnymi zbiornikami i regulatorami stałego poziomu wody. Koniec kanału przypada o trzy kilometry od Kielu. Nowy kanał zapewnia szybką i łatwą komunikację pomiędzy Kielem, Lubeką, Rostokiem, Szczecinem, Gdańskiem i Królewcem.

O Wł. Marcinkowskim, rzeźbiarzu wielkopolskim pisze Roman Lewandowski w ostatnim numerze „Przeglądu Tygodniowego":

„Prace pana M a r c i n k o w s k i e g o, rzeźbiarza stale mieszkającego w Berlinie, noszą na sobie cechę szkoły francuzkiej i odznaczają się ogromną finezyą w wykończeniu szczegółów. Niewielka bronzowa grupa „Matki z dzieckiem" ubranej w peniuar ranny z koronkami i falbankami posiada właśnie tego dowody. Grupa ta, w bardzo złem oświetleniu ustawiona, godna jest tem większej uwagi wszystkich zwiedzających pałac sztuki na wystawie i powinna sobie zdobyć uznanie, na jakie rzeczywiście zasługuje, tak pojęciem kompozycyi, jak i wykonaniem".

Liczba lekarzy w Japonii, jak wykazał ostatni spis ludności, w r. 1893 dokonany, wynosi 41,305, tak, że na 10,000 mieszkańców przypada ich 12. Oprócz uniwersytetu w Tokio, istnieje w państwie mikada sześć szkół medycznych na prowincyi, w części przez rząd, a w części przez miasta utrzymywanych. W r. 1892 było w Japonii 351 szpitali prywatnych, 220 rządowych, a nadto 2 szpitale wojskowe. Do egzaminów, które się odbywają w Nagasaki, Tokio i Kioto, zgłasza się rocznie 5—7 tysięcy kandydatów. Z ogólnej liczby lekarzy. 14 posiada europejskie wykształcenie fachowe. Lekarz japoński jest równocześnie aptekarzem, albowiem dawanie lekarstwa stanowi główną jego czynność. Japończyk za same zbadanie chorego nie wynagrodzi lekarza; doktor, który przyjdzie do pacyenta i nie sporządzi sam lekarstwa, nie ma w oczach przeciętnego poddanego mikada żadnego znaczenia. Jedynie Japończycy lepszego stanu, wyższej kultury, wzywają, jak u nas, głośnych lekarzy na poradę.

Z m a r l i:

W Berlinie d. 15 bm. dr. **Zygfryd Szamotolski**, licząc lat 28. Zmarły był współwydawcą sprawozdań dorocznych o nowych dziełach literatury niemieckiej, oraz autorem kilku studyów literackich.

Fryderyk Reusche, redaktor, „Aligem. Zeitg.", wybitną rolę odgrywający od roku 1848 w partyi liberalnej, były sekretarz prywatny Lassal'a — w wieku 54 lat w Pullach.

BIBLIOGRAFJA.

Witkiewiczowa Marya. Elementarz muzyczny. Wprawy rytmiczne do nauki czytania nut głosem Karola Studzińskiego, zharmonizował Władysław Żeleński, Kraków, 1894. Cena 3 mrk.

S. Dickstein. Arytmetyka w zadaniach. Część II. Ułamki. Wydanie drugie, znacznie powiększone. Warszawa. Gebethner i Wolff. Kraków 1894.

Kazimierz Tetmajer. Poezye, Serya II. Sfinks, fantazya dramatyczna. Kraków 1894. Cena 3 mrk.

Pamiętniki Aleksandra Guttrego, z lat 1845, 46, 47. dwa tomy. Poznań 1894. Cena 3 mrk.

Aleksander Kraushar. Zatarg Imci pana Łukasza Konopki z miastem Toruniem, kartka archiwalna (1742—56). Kraków 1895. Cena 1,50 mrk.

Józef Stanisław Wierzbicki. Poezye. Tom I. Kraków 1894. Cena 2,50 mrk.

Lew Mierzejewski. Kornelowi Ujejskiemu (1823 do 93) z ilustracyami Piotra Stachiewicza. Kraków 1894. Cena 4,50 mrk.

Aleksander Hirschberg. Grecya, wrażenia z podróży, Lwów 1895. Cena 2,00 mrk.

Piotr Górski. Samorząd Gminny. Tom I. Kraków. Cena 7,00 mrk.

José Echegaray. Galeotto, przełożył Jan Kleczyński. Kraków 1894. Cena 1,00 mrk.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. bar. K. w Paryżu. Żądane numery wysłaliśmy; resztę załatwimy w przyszłym tygodniu.

A. Wr. Londyn. Wysłaliśmy tyle numerów, ile było na składzie. Kompletu niestety już nie posiadamy.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zn orski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego." Czcionkami W. Simona w Poznaniu.